

# KUŹNICA

## TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Biblioteka Miejska  
Złódz  
Krzyszaja 14.

Rok 2

Łódź, 4 listopada 1946 r.

Nr 43 (61)

STEFAN ŻÓLKIEWSKI

## ○ SYTUACJI LITERATURY I PISARZA

Przemówienie na Zjeździe delegatów Związku Zawodowego Literatów Polskich w Łodzi dnia 27.X. 1946 r.

I.

„Noli foras ire, in te redi, in interiore homine habitat veritas” mówi święty Augustyn. „Nie chodź na rynek, wejdź w siebie, we wnętrzu człowieka mieszka prawda”. Nie potrzebowałem szukać tego zdania w pismach starożytnego ojca kościoła. Cytuje je jako lapidarną konkluzję swej filozofii najbardziej wpływowej w okresie międzywojennym mieszczański myśliciel współczesności Edmund Husserl. I doprawdy zbyt już wielu dzisiaj powtarza bezpośrednio jego myśli, a pośrednio cytowanego na początku pisarza. Z takich bowiem przesłuchań o źródłach prawdy wywodzi się schemat, wewnętrzna konieczność strukturalna, czerpiąca sprawiedliwość konsekwencje społeczne i praktyczne wszelkich systemów myślowych, które rade posługują się tak rozpowszechnioną nazwą humanizmu z odpowiednim przymiotnikiem: humanizm integralny, socjalistyczny, demokratyczny, chrześcijański.

Są w historii momenty szczególnego napięcia dramatycznego, momenty przełomów rewolucyjnych, które w sposób nieczynnym, niezamierzony obnażają rzeczywiste siły przemian w świecie ludzkim i zasady ich prawidłowych związków. Wówczas łatwiej jest niż kiedykolwiek celowo i rozumnie modyfikować normy godziwości i normy skuteczności naszego postępowania. Godnym bowiem człowieka i jego historii źródłem tych norm musi być rzetelna wiedza o świecie ludzkim. Gorzka i surowa wiedza o pierwszeństwie praw rządzących opornością wobec ludzkiego działania tego świata kultury, który również stworzył człowiek, a który ma wobec jego zachceń i dążeń oporną obcość materialnej, zewnętrznej rzeczywistości. Surowa wiedza o pierwszeństwie tych praw dynamiki kultury w stosunku do praw naszej psychiki, do jej naturalnego przywiązania do przyswojonego już rytmu, kolorytu, smaku własnych przeżyć, ocen, dążeń. Godziwym i skutecznym jest porzucenie własnej wewnętrznej, obumarłej prawdy wobec nowoodkrytych przez dialektykę historii faktów i związków w otaczającym nas rzeczywistym, ludzkim świecie. Bo prawda mieszka nie we wnętrzu człowieka — ale właśnie na rynku, wbrew świętemu Augustynowi.

Choć nikt nie wątpi, że we wnętrzu człowieka mieszka jakaś „prawda”. Ale jest ona dalekim odbiciem tego, co się działo na rynku wczoraj, czy przedwczoraj. Do tego co jest dziś — taka „prawda” nie pozostaje w żadnym stosunku. Gdy konieczność urzeczywistnienia rewolucyjnie a przede wszystkim świadomie przemian historycznych grozi nam jak wysoki przypływ, zaw sze zjawiają się filozofowie radzi chronić utracone raje wewnętrznego ładu, dotychczasowego uzbrojenia psychiki jednostkowej. Wbrew wymowie doskonałego przystawania teorii i praktyki w rewolucyjnym działaniu dają obłudne i fałszywe interpretacje spraw ludzkich. Prawidłowa i pokonywalna oporność naszej psychiki i nasze życie ideologiczne, która powinna być pokonywana zgodnie z obiektywnymi zasadami dialektyki postępu — tym fałszywym i obłudnym prorokom wydaje się być właśnie jedynym fundamentem moralności i pragmatyki trwałym, nienaruszalnym, niepodlegającym historycznej zmienności. Tak też jest społeczny sens współczesnych humanizmów: ratować w toku rewolucyj-

nych przemian kultury i tak obiektywnie utracony raj wewnętrznego porządku, słodyczy, harmonii, system norm i ocen, którymi się dotąd żyło i które usprawiedliwia przyzwyczajenie, najwyższe leniwe dobro naturalnej oporności psychiki, oporności właściwej każdemu układowi materialnego świata i pokonywalnej tylko z wysiłkiem i to kierowanym znajomością praw właściwych tej opornej rzeczywistości.

W toku wywodów da się jeszcze więcej powiedzieć o starym i nowym, prawdziem i fałszu w zakresie wiedzy o człowieku. Tu trzeba wrócić do zagadnienia logicznie pierwszego: sytuacji historycznej, tego, co dzieje się na rynku, a co jest źródłem wiedzy i prawdy, źródłem norm godziwości i skuteczności działania.

II.

Najprostszym obowiązkiem pisarza jest właśnie iść na rynek. Zrozumieć i odczuć jego zgłębliwą wymowę.

Wiedza o człowieku jest niezmiernie młoda, nieprzeżyta, często jeszcze zawodna. Jakże często w konsekwencji nawet najbardziej troskliwie planowana technika społeczna, technika kulturalna bywa okrutna, niecelowa, nieskuteczna.

Pewne przecież wytyczne — nawet zasadnicze — myślenia humanistycznego dało się ustalić z prawdopodobieństwem większym niż kiedykolwiek dotąd. Doba obecna to nie tylko czas kryzysu w metodologii, teorii nauk humanistycznych, ale również przełom w konkretnym myśleniu historycznym. Może nigdzie to nie było dostatecznie uwydatnione. Świadectwem przełomu jest pojawienie się pewnych form historycznego wyjaśniania zarówno w centrach badań jak i na peryferiach. Pragnę uwydatnić tu fakty najznamienniejsze, które mają sobie właściwy uogólniający je horyzont swoich wpływów i autorytetu. Mam na myśli twórczość Henryka Pirenne'a jeśli idzie o żywe ognisko współczesnej myśli historycznej — i Wacława Tokarza, jeśli idzie o nasze peryferie, dla nas przecież najbliższe i najważniejsze. Ich pisma to oczywiste przykłady wspomnianego przełomu. Obaj nie obcy tradycji, mieszczańscy historycy, obaj filozoficznie i politycznie dalecy od marksizmu i ruchu robotniczego. Obaj tylko z wyjątkową pokorą intelektualną powtarzali wymowę dokumentów szczególnie obnażających mechanizm stawania się dziejowego. Dzieje ojczysty Pirenne'a Belgii — Flandrii, które zgłębiał, były krzyżową próbą dla wykrycia sił dynamicznych kultury. To co najmniej dwukrotnie w późnym okresie merowingkim i w dobie wczesnego renesansu dynamika przełomu dziejowego wystąpiła ze szczególną czystością, prostotą. Twórczość Pirenne'a i jego niezmierny wpływ na historiografię europejską jest szczególnie przekonującym dowodem zwycięstwa tej zasadniczej wytycznej myślenia historycznego, która uprawnia ekonomiczną interpretację dziejów. Ale bo też twórczość tego pisarza jest „gruntoną” rewizją wszystkich podstawowych założeń poprzedzającej go historiografii mieszczańskiej. Jest ich rewizją na drodze analizy konkretnych, empirycznych danych historii. Jest więc to rewizja od wewnątrz nie inspirowana bynajmniej przez założenie sobie nowej filozofii dziejów. Różnica Pirenne'owskiego obrazu dziejowego przeło-

mu i tego, który dawała historiografia przed nim polega na uwydatnieniu dyktowanych przez twardą wymowę dokumentów innych proporcji wzajemnych, innego wiązania się koniecznego faktów historycznych.

Przez prosty postęp badań, postęp ilościowy — a od pewnego punktu już jakościowy poznania historycznego, przez spoufalenie się z rzeczywistym rytmem i atmosferą odległego, zapomnianego życia — zmieniły się proporcje faktów. Np. o stopniowym procesie likwidacji dziedzictwa rzymskiego w nowym, barbarzyńskim kształcie merowingkim ukazano dominujące znaczenie przetrwania dróg handlu zamorskiego w basenie śródziemnomorskim. Sumienna, imponująca głębią i zakresem informacji — wiedza historyka odsłania dostateczną ilość danych, by te zmiany proporcji wzajemnych faktów i kierunku, typu ich koniecznych powiązań nie wydawały się czymś przypadkowym, fakultatywnym.

Podobnie i z cytowanym Tokarzem. Trudno o bardziej zakłamaną historię, niż dzieje naszego kraju. A przecież ten uczciwy arcydzieł historyk przez prosty wgląd w faktyczne dane dotyczące — przynajmniej, szczególnie bezwstydnie, brutalnie prostego w swej dynamice okresu — odsłonił właściwego twórcę przemian: masy ludowe, właściwy podmiot historii: masy tworzące kulturę.

Podobnie za klasową interpretacją zmian społecznych przemawia niedwuznacznie dorobek socjologii współczesnej. Zarówno przez swe odkrycia jak i pomyłki. Wystarczy prześledzić tak decydujący dla charakteru współczesnej myśli socjologicznej rozwój koncepcji Durkheimowskich w obrębie jego szkoły. Począwszy od przełomowego postawienia przez mistrza sprawy swoistości faktów społecznych, a skończywszy na tak znamienych modyfikacjach wyjaśnienia konkretnych faktów, które do teorii Durkheima wprowadził jego uczniowie konfrontując poszukiwania mistrza z nowymi, sumiennie gromadzonymi danymi. O tym mówi tak doniosła dla postępu dzisiejszej socjologii twórczość znakomitego Halbwachsa. Ten wnosząc tylko empiryczne poprawki do narysowanych przez Durkheima rozwiązań (np. problem samobójstwa) — w konsekwencji swej rewizji doszedł do wyników, które są początkiem marxistowskich uogólnień w socjologii.

Przepraszam za ten przydługi wywód. Wydał mi się konieczny. Na jego tle może usprawiedliwić potrafię myśli bardzo znaczne, które uparcie lekceważy mieszczańska pogarda w skurczu samoobrony, a które wyrosły z żarliwego obrachunku krzywd współczesności, obrachunku którym żyruje nie tylko odpowiedzialność myśli cierplivej, pracowitej, do dna żytej z tradycją współczesnego empiryzmu i postępu naukowego, ale również odpowiedzialność rycerskiego życia wielu rewolucjonistów.

Niegodziwość i głupota naszego czasu to sprawa ustroju kapitalistycznego, jego ostatniej groźnej fazy rozwojowej, która wydała faszyzm i hitlerizm jako swoje konieczności społeczne i groźniej — techniczne. To w tej fazie powstała obojętna wobec moralności i woli ludzkiej potęga kapitału finansowego, potęga wyrosła z brutalnego wyzysku krajów gorzej zorganizowanych

...Lecz jabym główniejsi myśli artysty badał  
I czy dosłownie naród on spowiadał  
Czy się nie wstydzil prawdy i nie tłumil  
Mogąc łatwiejszy okłask zyskać sobie...

Cyprian Norwid

gospodarczo, krajów kolonialnych. Świadectwo temu dawały tak czujne i godne zaufania umysły jak Multatuli'ego już 80 lat temu, Romain Rollanda autora „15 lat walki”. Podobnie mówili prawdomówni, choć dziś już niegodni zaufania jak Conrad w „Jądrze ciemności” i „Nostromo” oraz Celine w „Podróży do kresu nocy”.

Nieuchronności wojen, periodycznych kryzysów, bezrobocia i głodu a jednocześnie palenia zboża w lokomotywach i topienia kawy w morzu przyświadczył największy mieszczański ekonomista współczesności lord Keynes, zaiste arystotelesowskiej miary reprezentant syntezy współczesnej wiedzy gospodarczej, który scalił i wypełnił w swojej świadomości dwuchsetletni dorobek nauk ekonomicznych.

Dynamika faszyzmów w Europie i ich ludobójcza treść, posiew grozy i nienawiści, posiew nierówności wśród ludzi, triumf z faszyzmem związanego przesądu, urągającego czystej myśli — to owoce ustroju kapitalistycznego. Zdławienie przez obcych najmitów i kondotierów pogardy człowieka wolności ludu hiszpańskiego, krzywdy Chin, krzywdy ludów kolorowych — to jego owoce.

Nie patrzcie w siebie i sprawy jednostkowe ludzkie, patrzcie wzdłuż perspektyw rynku pełnych pracujących, tworzących, cierpiących, prawdziwych ludzi. A wtedy posłuchajcie swego sumienia. Ono mówi wyraźnie: nie ma większej krzywdy niż ustrój wyzysku, niż rzeczywista przyczyna tego ogromu zła, które było dane przetrwać ludzkości od 60 lat, od narodzin imperializmu gospodarczego. Ta świadomość nakazuje decyzję. Trzeba uczynić wszystko, co dyktuje znajomość praw społecznego działania, dynamiki historii — by obalić ten ustrój przemocy, ustrój hamujący rozwój. Świat dzieli się wyraźnie na dwa obozy. Nie wolno być neutralnym. Linia podziału biegnie przez wszystkie dziedziny życia, myśli, kultury. W każdej ludzkiej sytuacji można być i obiektywnie zawsze jest się za lub przeciw faszyzmowi. A wybór zależy od każdego z nas. Droga walki o dobro i postęp nie jest wytyczona gładko i na każdym poszczególnym odcinku — ale jej kierunek jest jednoznaczny.

Historia decydujących klęsk obrońców sprawiedliwości w naszej dobie uczy każdego. Rok 1905: masy bez związanego z nimi kierownictwa, odwrócenie się od rewolucyjnego działania wielu ludowych przywódców, neutralność inteligencji, brak sojuszu robotniczo-rolniczego — w rezultacie klęska.

Upadek demokracji w Niemczech, „krwawy styczeń” 1919 na ulicach Berlina — rozbicie jednolitej klasy robotniczej — w rezultacie klęska.

Sprawa hiszpańska, sprawa Monachium — ustępstwa wobec faszyzmu, rzekoma obrona łagodnego — idealnego życia tam, gdzie jeszcze nie doszła groza przemocy — w rezultacie klęska.

Izolowanie Związku Radzieckiego realnej siły postępu, i krwawa cena tego błędu: przejściowe triumfy faszyzmu w Austrii, Czechach, Polsce.

W tych wszystkich sprawach przyszły zmiany pełne ożywczej nadziei.



Ja wiem, że pisarza obchodzi człowiek. Lecz czyż wymienione sprawy nie są aż nadto ludzkie?

Wiem, co was niepokoi: że mimo zwycięstw — dość jest krzywdy wokół nas, dość pogardy człowieka. Wróć do tej sprawy. A teraz chciałbym być dość wymownym, by obudzić żywe poczucie jak głęboką, jak największą jest krzywda zawiniona przez kapitalizm, krzywda bezrobotnego nędzarza, krzywda każdego odsuniętego od kultury i człowieczeństwa. Jak wielu jest na szerokiej ziemi ludzi krzywdzonych w ten sposób, ludzi białych i kolorowych.

### III.

Każdy badacz losów ludzkich — historyk czy pisarz — wie, iż tylko dla zakrytyjnego, prostackiego zarozumiałstwa zawęża wiadomą i niezmienną jest granicą zła i dobra. Cytowany przez Marksa przemysłowiec angielski uzasadniał konieczność zatrudniania małoletnich przez 12 godzin na dobę w przedziałniach, aby nie zgnębił swych dusz — zostawieni na ulicy cały dzień przez rodziców — robotników pracujących w tejże przedziałni po 14 godzin. I w tym poglądzie — przecież wspólnym temu przemysłowcowi z wielu współczesnymi jemu — była jakaś moralność, jakieś odgraniczanie zła i dobra.

Zbyt gorzką jest nasza wiedza o źródłach moralności. Trzeba bardzo czujnie zważać, by nie znaleźć się w roli tego przemysłowca i aby się ustrzec nie wystarczy zaglądać do starych ksiąg religijnych. Moralność tego Anglika znajdowała uzasadnienie słowne między innymi w tradycyjnej religijnej inspiracji, chociaż wywodziła się genetycznie z brutalnej, klasowej potrzeby.

Książka religijna nie chroni przed mocą klasowego egoizmu. Raczej tylko uspakaja, guszy sumienie. Służy świętemu, ale służy i Tartuffom.

Moralność mieszczańska opierała się na fikcji, która miała maskować wewnętrzną sprzeczność ówczesnego społeczeństwa: przemoc człowieka nad człowiekiem, konflikt jednostki i społeczeństwa, jednostki, która w kapitalistycznym społeczeństwie nie jest i nie może być wolna — Obnażył te antynomie u progu ery mieszczańskiej Goethe w „Cierpieniach młodego Werthera” a z większą wiarą w przyszłość Stendhal w „Czerwonym i czarnym”. Społeczeństwo mieszczańskie bowiem usunął równość wobec prawa — głosiło fikcję ideologiczną, że składa się z równouprawnionych jednostek, swobodnych, których wzajemne stosunki reguluje tylko wolna, prawna umowa zawierana między dwoma wolnymi, wobec prawa równymi ludźmi. Szło tu o umowy dotyczące najmu pracy.

My wiemy, iż kryła się za tym faktyczna przemoc ekonomiczna posiadacza warsztatu produkcji w stosunku do wydziedziczonego proletariusa. Lecz moralność mieszczańskiego społeczeństwa — jest moralnością mieszczańską. Uznaje wszystkie żywotne fikcje ideologiczne tego społeczeństwa. Była to więc moralność regulująca tylko stosunki między wolnymi rzekomo jednostkami. Moralność ta nie uważała za kradzież przywłaszczania sobie wartości dodatkowej przez właściciela, nie uważała za zło grabież jedynej własności proletariusza — jego pracy. Złem była grabież towaru, ale towarem nie była praca, była nią siła robocza kupowana legalnie na rynku tak jak sprzęty, żywność, przyjemności. Stary Barykka z „Doktora Piotra” Żeromskiego nie rozumie, że jest złodziejem. Nie mieć się to bowiem w mieszczańskości moralności. Praktyka bowiem stosunków między poszczególnymi właścicielami a poszczególnymi robotnikami nie obnażała właściwej moralnej treści tego stosunku przemocy i wyzysku. To dopiero stosunek całej klasy posiadaczy do całej klasy wydziedziczonych miał niedwuznaczny moralny charakter. Lecz moralność mieszczańska nie regulowała stosunków międzyklasowych, nie dostrzegała ich. Ona pragnęła odróżnić zło i dobro i nakłaniać do wyboru — tylko w ramach wszelkich urządzeń klasowego wyzysku, które milcząco akceptowała. W ramach praw przemocy, zakazów, systemu przywłaszczania wartości dodatkowej, łwiej części owoców niewynagrodzonej pracy robotnika — moralność mieszczańska kazała nie krzywdzić, jeśli zdarzała się możliwość jeszcze dodatkowej krzywdy słabszego. Zabraniała np.

zmuszać robotnicę do nierządu mocą przywileju „pracodawcy”.

Oczywiście sumienie pisarzy zbyt było czujne, by ten klasyczny schemat mieszczańskiej moralności mógł być im kiedykolwiek narzucany.

Umieli dojrzeć zło wyzysku klasowego i piętnować je. Tym niemniej sama zasada sądu moralnego pozostała mieszczańska. Skupienie uwagi na stosunkach dwu jednostek — siłą rzeczy przesłania właściwą granicę zła i dobra, paczy pojęcie obowiązku moralnego pisarza. I to — to najważniejsze skrzywienie perspektywy moralnej — przez mieszczańskie fikcje ideologiczne trwa do dziś, żywe, szkodliwe.

Pisarz dziś rozumie swój obowiązek moralny w ten sposób, że winien piętnować krzywdę człowieka, jednostki, iść w tropieniu tej krzywdy jak najdalej, dochodzić i tam gdzie jej źródło tkwi w samej strukturze społecznej, a ciągle i zawsze po tej linii obrony pokrzywdzonej jednostki. Oczywiście sumienny człowiek na tej drodze nie stanie się mimowolnym obrońcą zła. Ale pewnym jest, że nie spełni obowiązku, który nasza epoka włożyła na literaturę. Bo dziś gdy dostatecznie znamy wartość mieszczańskości fikcji ludzkiej nas, iż społeczeństwo to zbiór wolnych powiązanych dobrowolnymi umowami wzajemnymi, dziś, gdy znamy już groźną prawdę o klasowej strukturze społeczeństwa — walka ze złem — to walka ze złem w stosunkach między klasami i obowiązek moralny pisarza polega na współdziałaniu w tej walce, na ukazywaniu rzeczywistej granicy zła i dobra; i tu izolacja, abstynencja, ograniczanie się do moralności jednostkowej jest szkodliwe nie przez to co mówi i czego broni, ale przez to co pomija, co przemilcza, czego nie dostrzega. Inaczej kształtuje się pisarska, moralna diagnoza w pierwszym i drugim wypadku. Różnice te przylegają tak duże i istotne, iż przejście od jednego stanowiska do drugiego nie odbywa się bez walki, bez dramatu wewnętrznego. Zwycięstwo bowiem nowego sprawiedliwego porządku, jak każde zwycięstwo ludzkie nie ma tylko skrzydeł szumiących u ramion, ma, jak słusznie ktoś powiedział, przede wszystkim strudzone, skrwawione stopy.

Jeśli w tym pochodzie ku zwycięstwu, ku sprawiedliwości, ku ludzkiemu społeczeństwu zostanie skrzywdzony samotny człowiek, pisarz ma obowiązek piętnować krzywdę. Ale ma obowiązek baczyć, by w zapamiętaniu swym nie potępił samej walki o sprawiedliwość.

W dobie mieszczańskiej nie wolno mu było akceptować ram kapitalistycznego porządku klasowego, winien był wskazywać zło nie tylko w uchybieniu normom, które wewnątrz tych ram obowiązywały, ale winien był wskazać jego źródło w samych podstawach społeczeństwa mieszczańskiego, w jego zasadach, w tych ramach — mówiąc przenośnie. — Tak samo i dziś nie może bronić przed krzywdą tylko samotnego człowieka, winien bronić zasadniczego dobra: walki o wyzwolenie społeczne — w całej jej surowości, trudzie, pomyłkach, bo zwycięstwo w tej walce przynosi usunięcie największej niegodziwości i głupoty: ustroju kapitalistycznego, którego powszechny złowrogi wpływ wyżej już scharakteryzowaliśmy.

Ja wiem, że to może być i gorzkie. Że to może przynosić rozterkę. Ale nie wolno wybierać sobie łatwych zadań. Ktoś tam łamie największe przeszkody, rozbija rzeczywiste twierdze zła — te ramy porządku przemocy i gwałtu, w których nieuchronnie żyło społeczeństwo mieszczańskie. — A pisarze interesują się tylko samotnymi ludźmi, radzi, że zło społeczne kapitalistycznego ustroju, z którym kiedyś trzeba było walczyć — teraz znika usuwane cudzymi czyni tam wysiłkiem. Otóż trzeba umieć boleśnie wybierać. Jeśli chcemy prawdziwie zwycięstwa sprawiedliwości trzeba pamiętać, że nie ma ludzi samotnych, są ludzie w walce o nowy ustrój społeczny. Funkcja literatury, funkcja sądu moralnego, który jest jej istotą winna wyrazić się we współdziałaniu w tej walce. Obrona skrzywdzonego samotnika nigdy nie upoważnia nas do podeptania innych wartości moralnych, bo nie będzie obroną, będzie sianiem zamętu i krzywdy.

Obowiązuje nas jakoś prawo wielkich liczb. Gdy umiera na gruźlicę robotnicze dziecko w suterynie, możemy przyczynić je go krzywdy szukać w różnych okoliczno-

ściach, przecież przypadkowych. Bo naprawdę nie potrafimy wskazać koniecznej przyczyny śmierci małego Janka — a uchowania się małego Tomka. Natomiast statystyka śmiertelności wśród dzieci klasy robotniczej mówi o koniecznej przyczynie: o ustroju kapitalistycznym, którego formy udaremniały wszelką możliwość podjęcia planowej, objaśnionej rozumną nadzieją pracy nad poprawą doli robotniczej. Prawo wielkich liczb, spojrzenie od problematyki zbiorowości na sprawy krzywd i sprawy norm moralnych, które uczą nie tylko miłosierdzia, ale i obowiązku skutecznej walki ze złem.

Nie los samotnika jest wyznacznikiem granicy zła i dobra. Podział wartości moralnych dokonywany jest dziś wedle nowej i trudniejszej wiedzy. I w imię rzetelnej moralności trzeba wymagać dla niej poświęceństwa. Obrona skrzywdzonego samotnika nie upoważni np. pisarza robotniczego, partyjnego do złamania dyscypliny partyjnej, bo winien wiedzieć, że partyjna dyscyplina — to zwartość partii bojowego oddziału klasy niosącej nowy porządek sprawiedliwości — jest nienaruszalnym dobrem moralnym właśnie w perspektywie społecznej. Podany wyżej przykład jest może szczególnie, bo dotyczy pisarza zorganizowanego. Lecz obowiązek współdziałania w budowie nowego porządku społecznego spoczywa na każdym i przynosi swoje kryteria, obowiązki, normy moralne wszystkim rzetelnym pisarzom.

Moralność pisarza wymaga dziś jasnej deklaracji politycznej — nie tylko w życiu — ale i w literaturze. Jasnego opowiedzenia się za lub przeciw postępowi w Polsce, za czy przeciw Obozowi Wielkiej Reformy. I to przez głoszenie prostych, a zbyt często w mieszczańskości sztuce pomijanych prawd — jak żyć, jak myśleć, jak oceniać, by usunąć przemoc klasową.

Literatura ma wprowadzić jasność do spraw ludzkich. Wiemy dobrze — sprawy poruszające masy, dotyczące ich materialnych, nieusuwalnych potrzeb znajdują swój bezpośrednio uchwytliwy wyraz w grze sił politycznych. Polityczną jest struktura społeczeństwa, polityczną przeto jest funkcja literatury i jej moralnego sądu o człowieku i społeczeństwie zarówno w jej zach jak i przemilczeniach. Przeto prostym obowiązkiem moralnym jest odrzucenie postawy politycznego indyferentyzmu przez pisarzy.

### IV.

Literatura jako jedna z form nadbudowy ideologicznej, zachowując całkowitą formalną, strukturalną odrębność w stosunku do innych form ideologii jak religia czy nauka, spełnia przecież przytem podobnie jak one, istotne funkcje poznawcze. Nowa literatura przynosi nową wiedzę o człowieku. I to decyduje o posiadaniu stylu — głównym walorze estetycznym.

Jak wygląda pod tym względem dzisiejsza sytuacja literatury?

Istotną cechą współczesnej literackiej wiedzy o człowieku i świecie ludzkim jest jej naturalizm. Nie mam na myśli tego znaczenia słowa naturalizm, który określa styl Dygasińskiego czy Maupassanta. Chcę powiedzieć prosto, że literatura ostatnich 30 — 40 lat posługiwała się takim pojęciem człowieka, jego losów, a przeto i świata ludzkiego, iż wspierało się to wszystko na konstrukcji niezmiennej natury ludzkiej, której właściwości i trwałe potrzeby — wyjaśniać miały losy człowieka i dynamikę oraz wartościową treść świata ludzkiego. Niewątpliwie wywodzi się ten typ wiedzy o człowieku z ideologii triumfującego mieszczaństwa z drugiej połowy 19-go w. Ze spojrzenia na świat Darwina, Spencera i Zola. Lecz od czasu gdy główny akcent kładziono na czynniki psychofizjologiczne wiele się zmieniło. Prosty świat określony organicznymi potrzebami, rozumiany, jak natura — stał się mieszczaństwem wrogi, tajemniczy. Natura dała się ujarzmić — historia nie. Aby zrozumieć katastrofy ginącego porządku kapitalistycznego trzeba było prosty i jasny świat sił, potrzeb i instynktów naturalnych, organicznych, skonstruowanych przez analogię do praw biologii, przez spencerowskie przenoszenie praw ewolucji organicznej na procesy społeczne — wypełnić mrocznymi demonicznymi siłami, których nie dało się zrozumieć, ale które zwiastował codzienny smak klęski, niepokój sumień, poczucie zbłąkania, słabe, niejasne znaki — nie-

przetłumaczalne na żadną prostą, jasną wiedzę — a gwałtownie żądające wyrazu. Odsłonił je demoniczny świat z jednej strony nadrealizmu, z drugiej sublimowanego psychologizmu Prousta, Gide'a, Conrada. Nadrealizm jest kierunkiem literackim, który upowszechnił się tak jak żaden prąd artystyczny przed nim z wyjątkiem romantyzmu, zasługuje przeto na poważną uwagę. U źródeł jego jest niewątpliwie z jednej strony anarchiczny, drobniomieszczański przeto antyrewolucyjny, tylko negatywny bunt przeciw całej cywilizacji schyłku kapitalizmu, przeciw jej fałszowi. To buntarstwo było zrozumiałe jako reakcja na wojnę 1914 — 18 — podsycane potem przez wojnę marokańską, dławienie ludowej Hiszpanii, zbrodnie faszyzmów. Ta negatywna postawa niosła ze sobą szczególnie ciasne traktowanie środków wyrazu: środki artystycznego wyrazu traciły pierwotne znaczenie — podawane natomiast w nieoczekiwanych układach, układach łamiących dotychczasowe konwencje literackie aż do składni włącznie — miały manifestować pogardę dla istniejącego porządku i wyzwolenie człowieka z tych oków. Wierzone bowiem, iż pod rozbitą skorupą konwencji społecznych i kulturalnych znajduje się prawdę o rzeczywistości, niezakłamaną przez porządek społeczny naturze ludzkiej. Prorokiem tych nadziei był ostatni, spóźniony z wielkich naturalistów Zygmunt Freud i jego szkoła z wybitnymi twórcami psychologii głębi jak Adler na czele.

Rzekomo niekierowana racjonalnym zamiarem i społecznymi normami literackimi, całkowicie wolna, automatyczna, somnambuliczna twórczość nadrealistów miała wyrażać prawdziwą naturę ludzką, ukrytą w głębiach psychiki, w podświadomości. Tak szukano nowej wiedzy o człowieku. Trzeba przyznać — szukano namiętnie, we wspaniałym patetycznym zapamiętaniu prawdziwych artystów.

Nie trzeba chyba krytycznie demaskować tego żalnego nieporozumienia. Wszystkie błędy naturalizmu doprowadzone w nim były do swych ostatecznych, absurdalnych konsekwencji. Naturalizm zaś poddany był drugorzędnej krytyce przez współczesną *Filosofię kultury i nauk humanistycznych* już u progu XX w. Ta krytyka naturalizmu była niewątpliwie najzważniejszą, najbardziej przełomowym faktem współczesnej historii umysłowej. Niestety przez literaturę nie była i nie jest do dziś przeżyta. Wyrosła z niej nowa humanistyka — niestety nie zjawiała się nowa literatura. Współtwórcami tego antynaturalistycznego przełomu są wszystkie największe umysły współczesności. Mają tu swój wkład niepodważony, trwały tacy ludzie jak Edmund Husserl, Wilhelm Dilthey, Heinrich Rickert, Maks Weber, Emil Durkheim, Ernst Troeltsch, twórcy nowego językoznawstwa, wielcy historycy i badacze dziejów kultury, socjologowie. Jakkolwiek wiele błędów moglibyśmy przypisać tej nowej humanistyce — dwie negatywnie zdobyte będą jej trwałymi udziałem: krytyka naturalizmu i krytyka psychologizmu.

Ta ostatnia trafia oczywiście i w pochodne, sublimowane formy naiwnego przypisywania cech psychicznych, danym niepsychicznym, naiwnego wyjaśniania przy pomocy praw psychologicznych lub analogicznych faktów tegoż generu różnych, niepsychologicznych.

Dotyczy to literatury i wiedzy o człowieku, która opierała się jawnie na skrytyce, sublimowane formy naiwnego przypisywania cech psychicznych, danym niepsychicznym, naiwnego wyjaśniania przy pomocy praw psychologicznych lub analogicznych faktów tegoż generu różnych, niepsychologicznych. Dotyczy to literatury i wiedzy o człowieku, która opierała się jawnie na skrytyce, sublimowane formy naiwnego przypisywania cech psychicznych, danym niepsychicznym, naiwnego wyjaśniania przy pomocy praw psychologicznych lub analogicznych faktów tegoż generu różnych, niepsychologicznych. Ta ostatnia trafia oczywiście i w pochodne, sublimowane formy naiwnego przypisywania cech psychicznych, danym niepsychicznym, naiwnego wyjaśniania przy pomocy praw psychologicznych lub analogicznych faktów tegoż generu różnych, niepsychologicznych. Ta ostatnia trafia oczywiście i w pochodne, sublimowane formy naiwnego przypisywania cech psychicznych, danym niepsychicznym, naiwnego wyjaśniania przy pomocy praw psychologicznych lub analogicznych faktów tegoż generu różnych, niepsychologicznych.



I znów cokolwiekbyśmy krytycznego mówili o neopozytywizmie — nie można mu odmówić trwałego wkładu jakim jest logiczny antyirracjonalizm i skuteczna obrona empiryzmu. Obie więc literackie drogi szukania nowej wiedzy o człowieku i nadrealizm i późny psychologizm, rozminęły się ze współczesnym nurtem i postępem myśli. Przyczyną tego bankructwa było, jak myślę, bardzo epigonistyczne kontynuowanie pod pozorami nowatorstwa starego mieszczańskiego naturalizmu.

Współcześni krytycy naturalizmu szukali podstaw poznawczych swej filozofii kultury w ograniczeniach empiryzmu, natomiast obrońcy empiryzmu w swych konkretnych, marginesowych zresztą koncepcjach filozoficzno-kulturalnych nie umieli uwolnić się od sugestji naturalistycznych. To widać oba nurty myśli mieszczańskiej w błędach i sprzecznościach.

Jedyną dojrzałą współczesną wiedzą o kulturze i człowieku, która łączy stanowisko antynaturalistyczne i empiryczne jest humanistyka marksistowska. Nie wywodzi się ona genetycznie w żadnym sensie ani z cytowanego antynaturalizmu, ani z cytowanego neopozytywistycznego empiryzmu. Jeśli cytowałem te dwa kierunki to tylko po to, by pokazać jak ucziwa myśl mieszczańska przewyższa krytycznie samą siebie, przynajmniej częściowo. Cytowałem te kierunki, aby sygnalizować przeżycie się już w ramach mieszczańskiego światopoglądu tendencji aktualnych jeszcze niestety w literaturze.

Gdy sam myślałem, gdzie szukać wiedzy o człowieku i co wskazać jako źródło tej wiedzy dla literatury, źródło wytrzymujące próbę surowej krytyki, zawsze zwracałem się myślą ku tradycjom filozofii materialistycznej, ulegałem godziwej przemocy argumentów Marksa, jego subtelnej i niełatwej a tak czulej na każde drgnienie historycznej rzeczywistości konstrukcji świata kultury. Urzeczywistniał bowiem i te dążenia myśli, do których w ostatnim wyniku autokrytyki doszła i nauka mieszczańska — wskazując je jako punkty wyjściowe postępu. Zawiera i te elementy, które uznał w wyniku swego rozwoju i najbardziej ucziwy, odpowiedzialny odłam myśli mieszczańskiej: myśl naukowa.

Wynikiem tego krótkiego przeglądu jest uwydatnienie bankructwa współczesnych mieszczańskich form wiedzy o człowieku. Niezaprzeczona i przez wszystkich rozumiana jest potrzeba odnowienia jej. Skompromitowane są i filozoficzne źródła tej wiedzy, które ponoszą odpowiedzialność za jej jałowy naturalizm — mniejsza o to czy natchniony przez pragmatyzm, fenomenologię, freudyzm, egzystencjalizm czy personalizm.

Smutny to obrachunek. I po wielu próbach przychodzi mi sądzić, że marksizm, jako filozofia kultury na swoim terenie daje prostą, jasną, sprawdzalną wiedzę o sprawach i losach ludzkich. Naturalnym wydaje mi się postulat logiczny i moralny przeniesienia jej punktów widzenia i koncepcyj na teren literatury. Aby i ona odświeżona prosta a zbyt często przemilczana prawda o strukturze klasowej społeczeństwa, o formach przemocy ekonomicznej, o drogach wyzwolenia społecznego i zależności wysokich ideałów sprawiedliwości od materialnych form produkcji. W tej filozofii przytem zawarte jest całe piękno i patos naszych walk wyzwoleniczych, cała prawda tradycji polskiego postępu ostatnich kilkudziesięciu lat. Te wszystkie prawdy, które sprawda współczesna praktyka, wyemancypowana działalność ludowa, rewolucyjna przemiana społecznych warunków.

## V.

Trzeba dać krótką ocenę dwu lat naszej pracy literackiej i dwu lat działalności ideowej i kulturalnej Zw. Zaw. Lit. Pol.

Oczekiwanie t. zw. przelomu w literaturze jest raczej tylko dowodem naiwności krytyków z amatorstwa, pisujących w prasie prowincjonalnej. Czasem jednak są sytuacje, w których trzeba liczyć się z naiwnymi głowami. Myślę, że tak jest i teraz. Świadome obserwowanie przelomów kulturalnych, wybuchających na wzór wspaniałych gejerów śmiałej i płodnej nowości jest dane tylko historii. Ale jedynie dlatego, że ta stosuje sobie właściwą selekcję. Lubi akcentować skoki, które prowadzą do przemian jakościowych, chętnie zbywa su-

marną wzmianką konieczne poprzednie zmiany ilościowe.

Bez selektywnego postępowania historii trudno jest doprawdy nieraz nawet zauważyć ten proces przelamywania się życia kulturalnego.

To też i nam na minione dwulecie przyjdzie spojrzeć od strony stwierdzenia zmian i ich kierunku, bez oceny czy stanowią przełom czy nie, t. zn. czy wyraziły się w formie historycznie trwałych arcydzieł — czy tylko prac świadomie nowatorskich, które nawet przy względnej nietrwałości noszą znamiona poszukiwań i odkryć podejmowanych we właściwym kierunku.

Z tego punktu widzenia myślę, że można pozytywnie ocenić rezultat pracy literackiej ostatniego dwulecia.

W poezji mamy wyraźne dążenie do przewyższenia tradycji symbolizmu i impresjonizmu, do poezji bardziej humanistycznej, bliższej rzeczywistości troskom człowieka historycznego, opartej na dyscyplinie uczuć, wyraźnym hierarchizowaniu przeżyć, które mają stać się lirycznym materiałem. W dziedzinie form widać poszukiwanie właściwego stosunku między stanowiskiem tradycyjnym i t. zw. awangardowym. W tematyce umiejętność wiązania się z aktualnością, z problematyką historyczną, swobodne posługiwanie się tematem politycznym, refleksją moralną — tak żywe w wielkiej poezji XIX w., a tak ostatnio żałośnie poniechane, a w wyjątkowych wierszach lat międzywojennych tak niedołącznie przypomina.

Proza przyniosła również oczekiwany wzrost zainteresowań społecznych, problematyki moralnej, odwrót od drobiazgowego psychologizmu, ograniczenie panowania efektów formalistycznych.

Literatura lat międzywojennych tak bardzo antyintelektualna — ustępuje miejsca książkom z wyjątkowo ważkim i wielostronnym ładunkiem intelektualnym. Nie dzieje się to jednocześnie ze szkodą dla rzemiosła, które w wielu wprost cyzelatorskich utworach święci triumfy. Związek z życiem i aktualnością tej nowej prozy jest uderzający.

Zarówno w powieści jak i w dramacie mamy rewolucyjne próby tworzenia postaci ludzkich nie tylko przez konstruowanie ich charakterów, ale przez określanie ich sytuacją społeczną, sytuacją historyczną, losem klasy do której należą. Mamy zatem próby wyjścia poza jednostronność psychologizmu w najdrażliwszym punkcie.

Widzieliśmy próby historycznej determinacji nawet przeżyć miłosnych, o ile spłatały się one z prawdziwym, społecznym losem jednostki.

W krytyce literackiej, jakże ubogiej po wybiciu przez Niemców wszystkich prawie przedstawicieli tego gatunku, mieliśmy wytrwałą walkę z przeminionymi katastroficznymi, formalistycznymi gustami lat międzywojennych.

Mieliśmy płodną choć nieukończoną dyskusję na temat realizmu. Próby rewizji stosunku do żywych klasyków naszej literatury. Wreszcie obronę słusznego pozytywnego stosunku do tradycji kulturalnej, do zdobyczy dojrzałej techniki pisarskiej przeszłych pokoleń i odkryć technicznych lat międzywojennych.

Ten optymistyczny przegląd nie ma być kołysanką do snu. Myślę, że można uznać pozytywny wysiłek tych dwu lat. Myślę, że można stwierdzić, iż nasze środowiska nie śpią, ale pracują. Że próbujemy przezwyciężać stare nawyki i szukamy dróg wyjścia we właściwym kierunku. Bilans dyskusyj literackich, krytyk, działalności naszych tygodników lit. odświeżają wymienne przede mną osiągnięcia. Są to nie raz drobne posunięcia, ale świadczące o dostatecznie żywym ruchu literackim u nas, ruchu świadomym swoich dążeń i współdziałającym z pracą całego kraju.

Myślę, że ostatnie zdanie nie jest przesadną oceną. I proszę nie sądzić, że akcentuję tylko osiągnięcia pisarzy lewicowych. Przeciwnie, łatwo wskazać, iż charakterystyczny przede mną nurt przemian literackich porwał również pisarzy obozu katolickiego. A więc w sumie większość naszych literatów wogóle. I nic dziwnego — jest niewątpliwą cechą naszej drogi postępu — innej niż radziecka czy t. zw. droga „zachodnich demokracji” — że kroczą nią mogą ludzie reprezentujący różne tendencje, a zespoleni zasadniczymi cela-

mi, nader ziemskimi. Jest powszechnie wiadomą cechą dzisiejszego katolicyzmu żywy nurt radykalny, nurt poszukiwań społecznych, nurt poszukiwań ziemskich środków przewyższenia doczesnego zła w tym „co cesarskie”. Prawda, że dążenia te w Polsce są jeszcze tylko własnością przodujących intelektualistów obozu katolickiego. Ale tym żywiej zdają się oni odczuwać potrzebę upowszechnienia swoich dążeń po przez słowo pisane. Wyliczone przeze mnie cechy nowej literatury społecznej, sądzącej o sprawach moralnych, intelektualnej, selekcyjnej materiał przeżyć wedle poza osobistych miar — są zgodne z wieloma tradycjami i katolickiego światopoglądu artystycznego.

Podkreślając blaski, nie zamykam oczu na cienie. Głównym brakiem osiągnięć literackich ostatniego dwulecia jest ich częsta marginesowość, zjawiają się na peryferiach dzieł, nie zawsze stanowią o ich zasadniczym kształcie, podstawowych treściach.

A przytem dałoby się wskazać poważny odłam naszej literatury trwający na starych pozycjach, obcy dokonywującej się rewizji. I ośmielię się twierdzić, że to postawa obcości wobec współczesności, postawa „emigracji wewnętrznej” — znajduje w dziełach tych pisarzy swój artystyczny odpowiednik: jeszcze raz powtórzoną, nieskuteczną formułę zaklęcia, opornej rzeczywistości w kłamliwy, nadaremny, zimny obraz umarłej manieri literackiej.

Dotyczy ta krytyka również literatury najmłodszej. Jakże często dziwnie zblakanej w spóźnionym naśladowaniu mód z przed 30 lat — w pogłosach formalizmu i nadrealizmu. W próbach zaś realistycznych zbyt już oscylująca z trywialnym, antyartystycznym reportażem. Leczą to są sprawy dotyczące raczej form naszego życia literackiego, jego nienormalności spowodowanych sześciolletnią przerwą okupacyjną.

I tu w naturalny sposób przechodzimy do drugiego bilansu pracy Związku Zawodowego.

Niestety w tej dziedzinie nie widzę ani tego ożywienia, ani tej świadomości dążeń — co w dziedzinie pracy czysto pisarskiej.

Myślę, że polska droga do nowego ustroju, której swoistość stwierdziły największe autorytety współczesnej europejskiej myśli politycznej — prowadzi także przez szeroki samorząd zawodowy. Związki Zawodowe winny być i wielokrotnie są organizatorami swoich dziedzin życia społecznego. Nie obserwujemy tego w dziedzinie kulturalnej. Zw. Zaw. Lit. jest instytucją martwą, bez wpływów i autorytetu.

Polityka kulturalna kraju organizowana jest bez jego wpływu, aczkolwiek często pod wpływem tego czy innego pisarza.

I trzeba tu mocno wskazać jako przyczynę nic innego jak brak właściwego planu działania ze strony Związku, brak szerszego programu, brak nawet ambicji kierowania polskim życiem kulturalnym.

Stosunek Związku do władz państwowych, do M. K. i S. nie jest określony.

Polityka wydawnicza w zakresie książek, nowości i klasyków, w zakresie dzieł popularnych, w zakresie czasopism decydowana jest poza plecami Związku. I może dlatego coraz trudniej wydać „niepokupną” książkę poetycką bez względu na jej wysoki kunszt i głębię treści, coraz mniej mówi się o wydawaniu teoretycznych prac naukowych bez względu na ich rolę kulturalną, coraz ospalej drukuje się klasyków.

Zbiorowe umowy wydawców z pisarzami nie są ani zatwierdzane, ani nawet rozpatrywane przez Związek.

Polityka repertuarowa scen wymyka się spod naszego wpływu. Kształcenie i wychowywanie młodzieży literackiej jest w stanie żalosnego chaosu.

A to są sprawy, w których Związek winien nie tylko radzić, ale i autoratywnie decydować. Naszą sprawą jest ogólnopolski plan wydawniczy. Naszą sprawą poruszenie zapomnianego planu wydania klasyków. Nasi przedstawiciele odpowiedzialni przed Związkiem i Zarządem danej firmy winni być przy każdym wydawnictwie jako kierownicy i doradcy literacy.

Niedopuszczalne jest zawieranie umów zbiorowych bez aprobaty Związku. Naszą sprawą jest położyć kres barbarzyńskiej polityce czasopiśmienniczej rozpraszającej szczupłe siły pisarskie na setki pism, powodującej zalew grafomanii, uniemożli-

wiającej istotnie wpływowy ruch literacki skupiony wokół paru ideowo zróżnicowanych pism na wysokim poziomie i wzorowych pod względem artystycznym.

Koniecznością jest opracowanie nowego statutu Związku, ustalenie jego kompetencji w stosunku do M. K. i S. oraz w stosunku do wszystkich ośrodków i instytucji życia kulturalnego w Polsce. Inaczej uwolnienie się od samowoli prywatnego spekulanta, zamieni się dla nas w niewolę u przypadkowego biurokraty.

Nie powinniśmy pozwolić na biurokratyzowanie życia literackiego. A sprawa ta jest pilną, jeśli znaczna część życia kulturalnego jest uzależniona od czynników społecznych, wyjęta spod władzy prywatnego przedsiębiorcy. Autonomia literackich ośrodków dyspozycji jest konieczna.

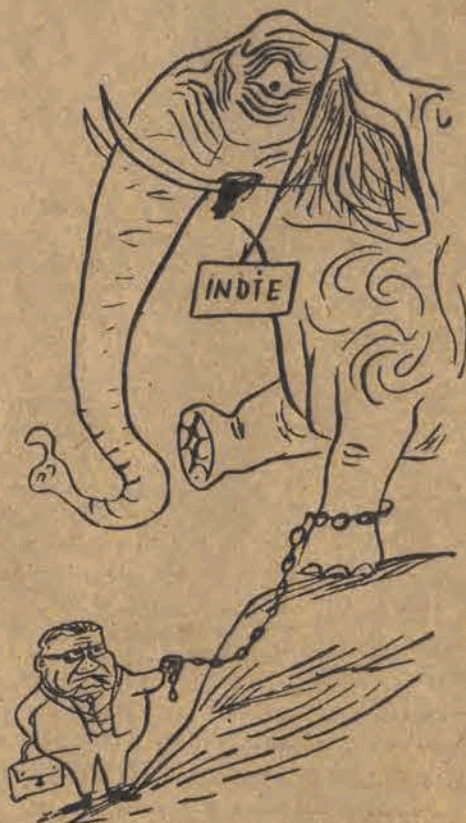
Znaleźliśmy polską drogę do nowego ustroju w formach współżycia gospodarki prywatnej i społecznej, w formach współistnienia rewolucyjnych reform i wielopartyjnej demokracji parlamentarnej. Winniśmy znaleźć drogę do nowego ustroju w kulturze. Drogę, która by uszanowała wielość kierunków artystycznych i ideowych odpowiadającą wielości współdziałającej w ramach obozu demokracji ludowej grup społecznych. Drogę, która by zapewniła literaturze pełną swobodę. Ale jednocześnie stworzyła te społeczne formy służby literatury dla współczesności. Drogę, która by pozwoliła owocnie podejmować zadania w dziedzinie odbudowy i upowszechnienia kultury, która by pozwoliła na naszym odcinku współdziałać z resztą społeczeństwa przy realizacji najważniejszych zadań — jak choćby dla przykładu: kulturalne zagospodarowanie ziem zachodnich, sprośtanie potrzebom uniwersytetów ludowych, robotniczych, świetlic, sprośtanie ożywionemu ruchowi kulturalnemu mas. Związek Zaw. Lit. Pol. musi mieć możliwość decydowania jeśli nie o formach organizacyjnych — to przynajmniej o ideowych i artystycznych treściach życia kulturalnego wymienionych instytucji. Związek Zawodowy winien mieć prawo pośredniczenia w dysponowaniu siłami swych członków. Powinien mieć możliwość proponowania odpowiednich ludzi na stanowiska decydujące o społecznym kierowaniu polityką kulturalną. To wszystko w oparciu o prawdziwie demokratyczny samorząd.

Tylko w ten sposób będą pisarze mogli sprośtać obowiązkowi współdziałania w odbudowie kulturalnej kraju. Jak pilną zaś jest potrzeba odbudowy poziomu wiedzy, potrzeb duchowych, moralności, sprawności intelektualnej wiemy dobrze wszyscy.

Dzisiaj na dobrą sprawę nie ma pisarzy tam, gdzie decydują się sprawy przyszłości kulturalnej kraju i to przyszłości bliskiej, jutrzejszej.

Stefan Żółkiewski

#### O DEBATACH W IZBIE GMIN NA TEMAT POLSKI



Pilnuj swego „nosa”

rys. M. Piotrowski



KAZIMIERZ SOKOŁOWSKI

# GOSPODARKA ZNISZCZENIA

1. W czasie okupacji, zwłaszcza wtedy, gdy jej ciężar wydawał się nie do zniesienia, oddawaliśmy się marzeniom na temat: co zrobimy z Niemcami zdanymi na naszą łaskę i niełaskę. I wówczas zgadzaliśmy się ze sobą, że nie trzeba wymyślać żadnych nowych środków odwetowych: wystarczy zastosować ten sam zespół środków, jakich użyła Rzesza Niemiecka do wytopienia narodu polskiego; nie zmieniając ani ducha, ani formy, tylko przestawiając podmioty tego piekielnego — jak go nazywaliśmy — systemu.

W niemieckim, udoskonalonym i uaktywnionym przez hitlerizm, systemie była metoda. Zimna, trzeźwa, ścisła i konsekwentna. Przemysłana i przepracowana. Realizowana na każdym szczeblu führerowskim przez naród równie karny i zdyscyplinowany, co sfanatyzowany, aczkolwiek jego starsze roczniki były nadszarpnięte niewiarą w zwycięstwo, a młodsze — korupcją. Ale nawet korupcja była celowa, bowiem celowo wycieńczyła nasz organizm gospodarczy.

Gdy niemiecki chwyt, dławiący nasze polskie gardła, rozluźniał się na krótką, przelotną chwilę, pozwalając zebrać myśli, kierowaliśmy je na jeden punkt: do czego to wszystko prowadzi? Ku czemu dąży? Czy tylko do wyniszczenia Polaków i Polski? Czy — nie mówiąc o Żydach — jest jeszcze ktoś „na rozkładzie” systematycznej furii teutońskiej? Jakie cele ma ona na widoku? O co walczy Trzecia Rzesza, walczą w sposób bezprzykładowy nawet dla historii, która ma przecież więcej kart ciemnych, aniżeli jasnych?..

2. Oficjalni rzecznicy Rzeszy Adolfa Hitlera pisali i mówili: walka toczy się o ocalenie Europy przed bolszewizmem rosyjskim i plutokracją żydowsko-angielską. Pisali i mówili również o „narodzie bez przestrzeni”, walka więc miała na oku przestrzeń, aby narodowi nie było ciasno.

Jakie były granice tej przestrzeni? Jeżeli wierzyć H. Rauschningowi („Hitler m'a dit”) — granice świata (z drobną poprawką dla imperium japońskiego). Jeżeli przyjąć za podstawę wynurzenia oficjalne z okresu szczytowych triumfów oręża niemieckiego — Europa. „Grosswirtschaftsraum Europa” pod berłem niemieckim, której wizję malowała „Deutsche Allgemeine Zeitung” z 21 marca 1943 r. w związku z wizytą Ribbentropa w Rzymie. „Złote zbory wschodu i srebrne połowy morza” miały przypaść w udziale zwycięzcom, realizującym „pojęcie Wielkiej Europy”, stanowiącej wszakże „minimalne ramy dla możliwości życiowych narodów zachodnich”. Granice przy tym Wielkiej Europy nie biegły linią brzegową naszej części świata. Plan niemiecki włączał do obszaru wielko-europejskiego Afrykę i Bliżni Wschód, a nie obca mu była i eksploatacja Syberii. Uzasadnienie tego superimperializmu było obojętne, gdyż granice niemieckiej Wielkiej Europy rozszerzały się w myśl zasady, że apetyt przychodzi w miarę jedzenia.

Plany niemieckie, przynajmniej te, które znamy i o których referuje świetna książka Wacława Jastrzębowskiego\*) nie mówiły wprost o podboju tego wielkiego obszaru przez potężną Rzeszę. Rzesza zadowolona z siebie przodownictwem w tej wielkiej Europie, której istotnym jądrem miały być Niemcy, zajmujące obszar pokrywający się prawie z terenem, zajęty przez „zwycięskiego żołnierza niemieckiego”. Ale gdy na zachodzie Niemcy zadowalali się stosunkowo skromnymi poprawkami (Luksemburg, Alzacja i Lotaryngia, częściowo Belgia i północno-wschodnia Francja, ewentualnie niemieckie kantony Szwajcarii), wschód Europy przeznaczony był do olbrzymiej ekspansji i stanowił właściwy, istotny i realny cel wojny. Cała ta wielka przestrzeń od Warty i Wisły poprzez Niemcy i Dniepr aż po... (gdymy się udało) Don i Wołgę, stała się przepięknym magnesem dla żelaznych dywizji pancernych Hitlera, Brauchitscha i Guderiana.

\*) „Gospodarka niemiecka w Polsce 1939—1944” (1946, Spółdz, Wyd. „Czytelnik”) 410 str.

Czy koncepcję hitlerowską można nazwać oryginalną? Bynajmniej: „Narodowo-socjalistyczny plan zdobycia dla niemieckiego europejskiego wschodu nie jest w historii Niemiec czymś nowym. Jest to ostatni etap procesu historycznego, trwającego od IX w., występującego w różnych formach i z różnym nasileniem, ale w zasadzie trwającego nieprzerwanie. Narodowy socjalizm z dużym naciskiem podkreślał, że jest sukcesorem średniowiecznych zdobywców ziem słowiańskich, że misję dziejową Niemiec widzi w wielkim stopniu właśnie w kontynuowaniu ich dzieła, a metody i środki, stosowane przez siebie... wyprowadzał z doświadczeń historycznych”. (Jastrzębowski, op. cit. str. 144).

Nowa była tylko motywacja gwałtu. Ale nie tylko motywacja. Tutaj wchodziła w grę okoliczność bardzo ważna, której nie dostrzegaliśmy, zbałamuceni sloganem „Volk ohne Raum”, uważanym przez nas za ordynarne kłamstwo. Istotnie, Niemcy były raczej przestrzenią bez narodu, tzn. naród niemiecki nie wykorzystywał swych wewnętrznych możliwości osiedleńczych. Ale oprócz tego naród ten wykazywał ostrą tendencję ulegania „rozkładowemu wpływowi Zachodu” czyli urbanizacji i uprzemysłowieniu. To, że rolnictwo niemieckie cierpiało od dawna na silny brak ludności, że odsetek ludności wiejskiej spadł za Hitlera z 33 na 30%, że pomimo wszystkich wysiłków polityki agrarnej „zniewieściłość” miast zachodu była dla narodu niemieckiego bardziej atrakcyjna, aniżeli „Wehrbauerschaft wschodu” (str. 81), że zanik rolnictwa mógł być — co przypominali stale publicyści Trzeciej Rzeszy — stać się podłożem gospodarczym upadku politycznego, że stosunek rzeczywistej liczby urodzeń do liczby, niezbędnej dla utrzymania liczebności narodu na niezmiennym poziomie, posiadał znak ujemny, że istniejący w Niemczech układ sił populacyjnych groził mimo woli „degeneracją”, „zniewieściłością” i „innymi właściwościami, odbierającymi narodowi zdolności agresyjne” (str. 162) — wszystko to musiało politykom hitlerowskim narzucić jedną jedyną w ich pojęciu koncepcję: koncepcję wojny.

I to wojny o Wschód Europy. Możemy zapytać: dlaczego o Wschód Europy? jak również: dlaczego wojna była nieunikniona? Czy nie można było uciec się do metody podboju pokojowego? Nie, ponieważ zagrożone ekspansją narody i państwa prędkiej czy później porwałyby za broń, jak to uczyniła nawet Anglia, i ponieważ „możliwość zapewnienia swemu krajowi godnego miejsca w świecie dzięki walorom gospodarczym i kulturalnym nie mieści się w głowie Niemca współczesnego, a narodowy socjalizm myśli taką wręcz odrzucą” (str. 155). Odrzucą zaś ją z dwóch powodów: primo — „zabór cudzego dobra uważany jest (w Niemczech) za rzecz naturalną i konieczną” (ibid.), secundo — „zniewieściłość” zmyć można tylko krwią, a widmo „degeneracji” odpędzić użyciem gwałtu na słabszych. Sadyzm chce być rehabilitacją tchórzostwa. Niemiec wyżywa się w walce ze słabszymi, a raczej w ich gnębieniu; co więcej — on tą jedyną drogą pozbywa się drżającego w nim ciągle kompleksu niższości. Chcąc być mocnym, musi zdobywać. A żeby go do zdobywania zachęcić, trzeba mu pokazać „miraże Wschodu”. Wschód Europy, z Ukrainą na czele, był „dla Niemców czymś w rodzaju Ziemi Obiecanej” (str. 77), mitem, stworzonym przez propagandę, dopingującą „zniewieściłego”, zurbanizowanego Niemca. Na wschodzie, podbitym i urządzonym na modłę niemiecką, „narastać miały siły potrzebne do rządzenia innymi narodami”; masa ludzka, wola rządzenia i zasoby żywności” (ibid.) Wschód dawał środki do utrzymania się na powierzchni życia. Jego zdobycie dawało nie tyle bogactwa materialne, ile właśnie okazję do wykrzesania z Niemca pierwiastków narodowej „krzywy”. Wschód miał się stać przymusową szkołą „charakterów”, stacją Kresową, kształtującą współczesnego Niemca na modłę rycerza z orszaku margrabiego Gerona. Miał być zaprawą do panowania nad światem.

Dlatego też Hitler zaatakował rolniczy Wschód Europy. Potrzebny mu był ze względów demograficznych, skoro narody słowiańskie „pęczniały” od nadmiaru(?) kolysek, potrzebny mu był ze względów strategicznych, gdyż bez niszczycielskiej wojny narody te wzrosłyby wkrótce w siły i nie dały się zaatakować, potrzebny mu był wreszcie ze względów gospodarczych, zapewniał bowiem dostawy surowców, a zwłaszcza żywności, oraz ręce robocze, mające pracować ku chwale narodu niemieckiego. Całą wojnę można zresztą porównać do wyprawy Gerona na Polan: celem jej było zagarnięcie szmaty ziemi i zgermanizowanie ludności, a w każdym razie zdobycie niewolników i wymordowanie tych, którzy na niewolników się nie nadawali.

3.

Na drodze do podboju europejskiego Wschodu leżała Polska. Kraj, w którym Niemcy toczyli walki od stuleci. Kraj, który mimo wielu trudności zewnętrznych i błędów wewnętrznych rozwijał się i budził najlepsze nadzieje. Kraj, łączący Wschód z Zachodem, o dużym przyroście naturalnym (w latach sześćdziesiątych liczba młodzieży męskiej w Niemczech i Polsce byłaby już jednakowa), dysponujący inteligentnym pracownikiem, stopniowo się uprzemysławiający (ludność żyjąca z przemysłu wzrosła w samym tylko dzieśnięciu 1921—31 o 30%, a ilość przedsiębiorstw przemysłowych w dalszym siedmiolciu o 34%). Kraj, którego „organizm gospodarczy posiadał siłę, wyraźną zarysowaną samoistność i więź wewnętrzną” (J. str. 37). A zatem kraj, stanowiący przeszkodę na drodze do zwycięskiego podboju Wschodu.

Jednocześnie był to kraj militarnie słaby. Latwo więc go było pobić. Ale pobity — nie można się zadowolić jego szoldowaniem. Trzeba go obezwładnić, aby w przyszłości się nie odegrał, ma bowiem wewnętrzne zadatki ku temu. Ale obezwładnić, to znaczy zastosować wobec niego procesy niszczycielskie, uderzając po napoliońsku w jego najmocniejszy i tym samym najgroźniejszy dla Niemiec punkt: w bazę ludnościową. „Naczelnym zadaniem ziem polskich w europejskim obszarze gospodarczym miało być dostarczanie taniego robotnika dla przemysłu i rolnictwa niemieckiego (J. 266). A ponadto — skoro historia wykazała bezskuteczność kolonizacji i germanizacji — należało naród polski „wykastrować”. Co niemiecki żołnierz zdobył — stawało się własnością narodu niemieckiego. A więc i ziemia, i dom, na niej stojący, i pracujący w nim człowiek. Właściciel mógł go zabić lub uczynić zeń swego niewolnika. I to właśnie uczyniono.

W czasie swego pobytu w Polsce Niemcy usilowali wmówić w siebie i świat (bo w Polaków na szerszą skalę nawet nie próbowali), że wszystko, co robią w Polsce, czynią w celach „zracjonalizowania” tego fragmentu Wschodu Europy. De facto momenty gospodarcze były zamaskowaniem istotnych momentów politycznych. Nie „oconomicum”, lecz „politicum” cechowało każdy krok Niemca na ziemiach polskich. „Nie kępowano się zbyt racjami gospodarczymi, niszczone z całą swobodą pożyteczne wartości materialne, które zapewne starano by się zachować, gdyby celem była przebudowa lub eksploatacja aparatury gospodarczej, a nie wprost wyniszczenie ludności polskiej” (J. str. 310). „W planach reorganizacji Europy przewidziano na przyszłość zupełne wyniszczenie narodu polskiego” (J. 220). Niemcy nie kępowali się żadnymi formami oportunistycznego, istniejącymi na kontynencie wszędzie poza Polską” (ibid.). Przecież Żydów francuskich, czechosłowackich czy węgierskich wzięto do Treblinki lub Oświęcimia pod płaszczykiem „akcji kolonizacyjnej”; z polskimi Żydami nie robiono sobie podobnych ceremonii, tylko bez ukrywania prawdy ładowano do wagonów i wysyłano do komór śmierci.

Wobec ludności polskiej Niemcy zastosowali metody, mającą dać rezultaty szybkie i niewątpliwe. „Nie trzeba ich uważać wyłącznie za przejaw barbarzyństwa gru-

py rządzącej — to był spokojny, wyrozumowany, z doświadczeń historycznych wysnuty system, niezbędny dla zrealizowania celów, przyświecających narodowi niemieckiemu od bardzo dawnych lat” (J. 163). Że cierpiał przy tym przedmiot, t. zn. gospodarka, że pogarszano sobie wojenny potencjał gospodarczy i na przyszłość stwarzano zbędne trudności — to nie wobec zasadniczego celu, jakim było usuwanie śladów polskości, tępienie podmiotu czyli narodu polskiego.

4.

Dobór środków, użytych w tym celu przez okupanta, imponuje swą wszechstronnością i konsekwencją.

Zacznijmy od środków prawnych, jako że wszystko, co Niemcy czynią, czynią zwykli w „majestacie prawa”. Prawo było dla nich jednak często tylko parawanem, który usuwali bez ceregieli, gdy był im niepotrzebny. Zamknięcie Żydów w ghettach odbyło się na podstawie przepisów o zwalczaniu chorób zakaźnych, ale wymordowano ich „bez powołania się na żaden przepis prawny i bez żadnej procedury legalnej, nazywając tę czynność przesiedleniem” (J. 175); obwieszczenia o „przesiedlaniu” Żydów, jak i o wysiedlaniu Polaków z Ziemi Zachodnich i Zamojszczyzny nie miały podstawy ustawowej, nie były podpisane itp.

Ale w dziedzinie gospodarczej „majestat prawa” z reguły obowiązywał. Ludność „nie-niemiecką” pozbawiono jawnie posiadanych przez nią swobód i uprawnień, poczym oddano ją na łup samowoli Gestapo i administracji niemieckiej. Wszechwładzy tej ostatniej, „nieskrępowanej normami prawnymi i niczym nie ograniczonej w doborze środków realizacyjnych” (J. 229), towarzyszył permanentny stan niepewności prawnej, w jakiej pozostawiono ludność polską. W zasadzie okupant opierał się o system prawny, który dopuszczał istnienie ludności polskiej, ale dyskryminował ją i kępował na każdym kroku. Niemiec mógł czynić wszystko, na co miał ochotę i co polityka niemiecka uważała za celowe i pożyteczne; Polak miał nałożony na siebie kaganiec ograniczeń i zakazów. Np. każdy, kto nie był Niemcem, a mieszkał „pod Rzeszą” (na ziemiach „przyłączonych” do Rzeszy), miał tylko prawo użytkowania mebli, których właścicielem było państwo niemieckie. W Gubernii Generalnej Polakowi wolno było zajmować tylko ostatnie miejsce na widowni gospodarczej: nie miał dostępu do wyższych stanowisk, nie mógł posiadać większych i ważniejszych dla życia gospodarczego przedsiębiorstw, nie wolno mu było prowadzić bardziej rentownych imprez itp.

Majątek, należący na ziemiach „przyłączonych” do Polaków i Żydów, a w G. G. do Żydów i w pewnych wypadkach również do Polaków, podlegał zarządowi przymusowemu (chodziło o pozory) lub wprost ulegał sekwestrowi i konfiskacie. Na ziemiach „przyłączonych” okupant skontiskował wszelkie obiekty rolnicze, przemysłowe, handlowe etc., w G. G. ograniczono się do obiektów o większym znaczeniu; wobec Żydów, o ile byli poza murami ghetta, nie czyniono żadnych odróżnień. Usunawszy Polaków i Żydów od dyspozycji gospodarczej, pozbawiwszy ich (poza G. G.) wszelkiego prawa własności nieruchomości i handlowej, Niemcy w G. G. łączyli przymusowo pojedyncze przedsiębiorstwa polskie lub komasowali siłą gospodarstwa rolne. Poza tym wysiedlali ludność wiejską bez ceremonii, zajmując jej ziemię na cele wojskowe lub polityczne. „Memoriał w sprawie traktowania Polaków”, przedłożony w maju 1944 r. Bühlerowi na zlecenie Franka wyraźnie przynajmniej do planowego wysiedlenia ludności chłopskiej, wywłaszczenia i zajmowania własności ziemskiej, mieszkaniowej i mienia osobistego oraz przedsiębiorstw przemysłowych i handlowych etc. Spółdzielczość i hurt polski w G. G. tolerowano, bo trudno się było bez nich obejść, ale przeznaczano je — jako nagrodę — dla żołnierzy niemieckich, zwłaszcza z Waffen — SS.

„Jest rzeczą nieprawdopodobną, a zatem wzbudzającą niedowierzanie, aby postępowanie, uważane w jednym społeczeństwie



za nieetyczne, bezprawne i nawet zbrodnicze, w innym społeczeństwie, stojącym na tym samym poziomie cywilizacyjnym, mogło być uważane za słusne, sprawiedliwe i stanowiło legalną formę działalności władz publicznych, akceptowaną przez ogół ludności" (J. 168). W wypadku Niemiec hitlerowskich było to jednak rzeczywistością. „Co w gęcej, takie właśnie metody były konieczne i nie mogły być złagodzone, jeśli dążyło się do osiągnięcia celów, które naród niemiecki sobie postawił" (J. 169): zniszczenia najbliższych sąsiadów. Tych zaś, których nie zniszczono, bo mogli się być jeszcze przydać, przekształcano prawem i siłą w „masę bezkształtną, plastyczną i bezwładną, w zupełności podporządkowaną woli administracji, porządkom prawnym nie krępującej" (J. 230).

Administracja niemiecka w Polsce została potraktowana przez hitlerizm jako *ekspedycja karna*. System, działający bez względu na Niemców, nie mógł się przyjąć w kraju, podbitym przez Niemcy i traktowanym jako wrogi od czubka do pięt. Nie próbowano go zresztą „nawrócić" na swoją „wiarę" i urobić na swoją modłę. Na ziemiach „przyłączonych" wprowadzono w zasadzie system administracji gospodarczej, wzięty wprost z Rzeszy, ale i on niewiele by wskórał, gdyby nie towarzyszący mu *gwalt i terror*. W G. G. nierzadko szablono niemiecki, ale zgóry potraktowano go jako akcję pozorującą. Dążono do „złajszaltowania" G. G. z Rzeszą, ale nie martwiono się (zwłaszcza nie martwiono się Gestapo), że proces ten się nie udał. Powstały na tym tle bałagan był wodą na młyn różnych jednostkowych i grupowych interesów niemieckich. Niemcy kłócili się i grzłi między sobą, tryby maszyny administracyjnej tarły się i zgrzytały, ale wszyscy Niemcy ciągnęli z ludności olbrzymie korzyści materialne, a wyniszczanie narodu przebiegało w sposób prawidłowy i planowy. Poszczególne dystrykty, a nawet powiaty, stanowiły jak gdyby państwa w państwie, ale „najważniejszy organ zarządu okupacyjnego, t. j. policja, miał kierownictwo scentralizowane, niezależne od administracji ogólnej" (J. 199). Spory konferencyjne rozstrzygano zazwyczaj kosztem podbitego kraju, a jedynie przeżarcie aparatu niemieckiego korupcją pozwalało polskiej ludności tego kraju przemykać się przez gęste oka zastawionej na nią sieci.

Niemcy nie ograniczyli się wszakże do metod prawnych i administracyjnych. Zastosowali ponadto metodę „organiczną", przez którą rozumieć należy instytucje i organizacje pozapaństwowe, służące jednak temu samemu celowi: *wyłuszczeniu polskiego gospodarstwa narodowego*. Celowi temu służyli zarówno „landwirci" (powiatów i gminni), eksploatujący wieś polską, jak i „Landbaugenossenschaften", które na Ziemiach Wschodnich „zastępowały" kolchozy, a de facto niczym się od nich nie różniły, nastawione zaś je na maksymalne rabunkowe wyeksploatowanie wsi. W handlu funkcję tę powierzono na Ziemiach Wschodnich Centralnemu Przedsiębiorstwu Handlowemu „Wschód", instytucji monopolistycznej w rękach, rzecz jasna, niemieckich, a na ziemiach „przyłączonych" i w G. G. hurt niemiecki był jak najdalej uprzywilejowany. Firmy niemieckie płaciły niższe stawki podatków, robocizny i usług, korzystały z przydziałów urzędowych i po urzędowych cenach, obejmowały majątek przedsiębiorstw zlikwidowanych lub sfuzjowanych, miały pierwszeństwo lub wyłączność w dostawach dla rządu etc. Przewidywano je z góry na przedsiębiorstwa przodownicze, stojące na wysokim poziomie organizacyjnym i technicznym, wysoce przy tym rentowne, co szło po linii tezy o „narodzie panów".

5.

Ale to wszystko nie wystarczyłoby, aby z kraju podbitego uczynić niewolnika. Trzeba go było ponadto *ograbić*. I tutaj również „bukiet" metod niemieckich składa się z szeregu różnorodnych „kwiatków".

Zacznijmy od eksploatacji — kolonialnej, *rabunkowej* eksploatacji — polskiego majątku narodowego. Szczególnie brutalne ściąganie kontyngentów płodów rolnych, „osładzane" premiowaniem towarowym czyli głównie wódką (chodziło o poderwanie biologicznej odporności chłopów polskiego), jest tego wyraźnym przykładem. O ile wszakże gospodarka zbożowa ucierpiała na tym stosunkowo mniej, o tyle gospodarka hodowlana znalazła się w sytuacji kata-

strofalnej. Niemiecy hodowcy bydła i trzody chlewnej pomimo 5 i pół lat wojny nie tylko nie zmniejszyli swego pogłowia, ale je jeszcze powiększyli; mogło to mieć miejsce jedynie dzięki poświęceniu na cele konsumpcji pogłowia krajów podbitych, z Polską (zwłaszcza G. G.) na czele. Ponadto uderzono w rolnika polskiego silną redukcją podaży nawozów sztucznych, dostępnych natomiast dla większej własności rolnej, przede wszystkim w rękach Niemców. Wreszcie stan maszynizacji gospodarstw chłopskich, pozostawionych Polakom, uległ poważnemu pogorszeniu.

I w rolnictwie, i w gospodarce pozarolniczej olbrzymio zaciążyły zakazy i faktyczna niemożność przeprowadzania *inwestycji*. Od chwili wybuchu wojny z Związkiem Radzieckim Niemcy wstrzymali inwestycje niewojenne, nawet w warsztatach pracy, które przeszły w ręce niemieckie, a jeżeli Polacy inwestowali dalej, to tylko potajemnie, a więc na drobna skalę. Wszystkie te jednak inwestycje — legalne i nielegalne — nie były zdolne wyrównać nie tylko zniszczeń, wynikających z wojny i okupacji, ale również normalnej amortyzacji nieruchomości i urządzeń.

To jeszcze nie wszystko. Systematyczna i konsekwentna eksploatacja naszego majątku narodowego przez Niemców znalazła szereg innych środków i sposobów. Jednym z nich były stale i na wielką skalę praktykowane zakupy towarów i usług po cenach oficjalnych, podczas gdy wiadano, że ten rynek jest alimentowany nie po takichże cenach, lecz po cenach kilka- i kilkanaście razy wyższych. Dawało to znakomitą szansę rabunku w „majestacie prawa". Identyfikację postępował niemiecki urzędnik, biorąc łapówkę w towarze, zawsze domagał się wystawienia faktury, za którą płacił zgodnie z cennikiem — oficjalnym. *Wymuszanie i przekupstwo* były zresztą celowym narzędziem rabunku, a łapówki, bez których Polacy by nie wyżyli, stały się po prostu potwornym *podatkiem majątkowym*.

Podatkowi temu sekundował podatek *inflacyjny*. Przecież zapłata za polskie towary po cenach niemieckich była „w banknotach emitowanych bez podstaw gospodarczych, a więc samych w sobie stanowiących *sekwestr*" (342). Podstawą emisji „młynarek" nie było ani złoto, ani dewizy, weksle i czek, tylko marki niemieckie, otrzymane od wojska, i „przetworzone" w należności markowe, zamrożone w bankach państwowych Rzeszy i przeważnie użyte na zakup niemieckich pożyczek wojennych. Emisja, oparta o tę bezwartościową makulaturę, rosła w miarę wyczerpywania się masy towarowej, oddziaływała przeto inflacyjnie. Maszyny drukarskie pracowały posłusznie dla wojska, które nabywało wszystko za każdą cenę, nawet nieoficjalną i niedozwoloną. Radość, jaka z tego powodu powstawała w polskich przedsiębiorstwach, była przeto krótkotrwała: ich właściciele mieli w ręku pieniądź papierowy, oparty o pożyczki niemieckie. Innymi słowy, wyprzedając towar za makulaturę, polskie gospodarstwo narodowe brało udział w kosztach — jak określił min. Funk — zwycięstwa niemieckiego (okazało się potem, że w kosztach kłęski, ale to na jedno wychodzi). Z początkiem 1943 r. emisja ogólna sięgała 5 miliardów złotych, z czego 4 miliardy na potrzeby wojska niemieckiego i na sfinansowanie czyli jeszcze jednej formy rabunku. A potem przyszedł rok 1943 i 1944, lata dalszego, choć nieco wolniejszego, rozszerzania bezwartościowej emisji, legalnie rabującej towar i majątek polski.

Całe gospodarstwo narodowe w Polsce nastawiono „na maksymalne rabunkowe wyeksploatowanie go dla potrzeb wojska i Rzeszy" (str. 216), tym więcej, że od trzeciego roku wojny wszystkie kraje okupowane łącznie z samą Rzeszą min. Speer wtoczył w jarzmo gospodarki rabunkowej na szeroką skalę. Ale ponieważ Polska była krajem obcym i wrogiem, a Polacy i polskość skazani na zagładę, więc „eksploatacja rabunkowa posunięta została daleko poza minimum podyktowane potrzebami wojny" (220).

Istotnie, Niemcy mieli w tym „szaleństwie" metodę znacznie szerszą, aniżeli wymagały tego względy wojny i okupacji. Nie chodziło im tylko o zapłacenie przez podbitego nieprzyjaciela maksymalnych kosztów wojny, ale również — a w Polsce przede wszystkim — o strukturalne dopasowanie kraju podbitego do dalekosiężnych i na

czas pokoju obliczonych planów Wielkiej Rzeszy.

O likwidacji rolnictwa nie było, rzecz prosta, mowy. Za to zastosowali tu Niemcy metodyczną *przebudowę ustroju rolnego*, primo — wyrzucając Polaków z wielkiej własności ziemskiej w całej Polsce, a ze średniej na ziemiach „przyłączonych", secundo — komasując, zwłaszcza na tym ostatnim terenie, mniejsze gospodarstwa chłopskie i tak skomasowane oddając rolnikom niemieckim, choćby stali niżej od chłopów polskiego (Niemcy bałtyccy, wołyńscy, Besarabscy etc.) Z 1.400.000 polskiej ludności rolnej usunięto do r. 1941 połowę, drugą zaś połowę przetworzono w parobków u Niemców, których osadzono 320.000. Przy tym zabieg z 299.000 gospodarstw rolnych utworzono 113.000, naturalnie tylko niemieckich. Gdy przed wojną chłop polski miał przeciętnie 7 ha, to osadnik niemiecki otrzymał teraz przeciętnie 20 ha. W G. G. analogiczną metodę zastosowano na Zamojszczyźnie, wysiedlając ok. 100.000 mieszkańców z 12.000 gospodarstw, które oddano Reichs- i Volksdeutsch'om oraz SS-Mann'om. Przy okazji rolnictwo polskie w G. G. zostało pozabawione lepszych, wyżej stojących ośrodków kultury rolnej, które albo oddano Niemcom, albo w ogóle zlikwidowano (np. hodowlę nasion).

W handlu posunięto się nieco dalej. Nie ograniczając się do wyrzucenia z handlu Żydów w całej Polsce, a Polaków na ziemiach „przyłączonych", przystąpiono z biegiem czasu do tzw. akcji wyczesywania czyli zamykania „zbędnych" zakładów lub przymusowego ich łączenia. Zniszczenie Żydów w wielkim stopniu było równoznaczne ze zniszczeniem ich przedsiębiorstw handlowych (i wszelkich innych); większe i średnie oddano Niemcom, niekiedy Polakom. Na ziemiach „przyłączonych" nie ograniczono się do firm żydowskich, skoro np. na Pomorzu w 1942 r. pozostało niespełna 30% przedwojennej ilości przedsiębiorstw handlowych. W G. G. ilość placówek handlowych spadła w czasie okupacji conajmniej do połowy, co było skutkiem również nie tylko wyniszczenia Żydów.

Największe szczyby powstały w *przemysle*. Niemiecka polityka jasno i niedwuznacznie skazała ziemie polskie, a G. G. w szczególności, na odgrzywanie roli „Nebenlandu", który miał być prymitywizowany. Tym samym musiały ulec likwidacji wszelkie szczytowe formy uprzemysłowienia kraju. Poszły przeto pod nóż przedsiębiorstwa żydowskie bez względu na ich wielkość (np. w warszawskim ghetto); z polskich zaś te wszystkie, które uznano za zbędne. Zdemontowano przeto przemysł zbrojeniowy, metalowy, chemiczny, włókienniczy, elektrotechniczny itd., przede wszystkim zaś fabryki większe i lepsze i bardziej rentowne, głównie „zajmujące się dalej posuniętymi stadiami procesu przetwórczego". Tą drogą sprowadzono Polskę — a G. G. w pierwszym rzędzie — do poziomu drobno-fabrycznego i rzemieślniczego, aczkolwiek i na tym odcinku też stosowano akcję „wyczesywania", likwidacji, komasacji; na Pomorzu ilość warsztatów rzemieślniczych zredukowano poniżej 40% stanu sprzed wojny.

Prymitywizację gospodarki polskiej podkreślono wreszcie i ukoronowano zarządzeniami i aktami na odcinku *nauki* i *wyszkolenia* zawodowego. Zniszczono, wywieziono lub zrabowano biblioteki, laboratoria, muzea itp., zamknięto uczelnie wyższe i szkoły średnie, obniżono poziom nauczania w szkolnictwie zawodowym, wymordowano uczonych i pedagogów — słowem, pozabawiono Polskę i Polaków bazy kulturalnej, bez której nie ma rozwoju i postępu. Zrobiono to celowo i pod kierownictwem przedstawicieli nauki i oświaty w Niemczech. Byli oni zresztą w stosunku do książek i zakładów naukowych tym, czym wobec ludzi policja i S. S.

6.

Ludzie to rozdział osobny. Rozdział pisany krwią i łzami, nędzą i niewolą. Albowiem hitlerowska koncepcja świata opierała się na „Blut und Boden". Nie można zaś zdobyć ziemi — twierdził Hitler — jeśli się jej nie zrosi krwią. Nie tyle krwią zwycięzcy, ile właśnie krwią zwyciężonego.

Margrabia Gero, uosobiony w Hitlerze, szedł na podbój kraju, na półów niewolników i aby wymordować zbędnych i tych, co by mogli przeszkodzić w dziele uczynienia wolnych *niewolnikami*. Zdobywszy

Polskę ogniem i mieczem, wziął się przede wszystkim do usuwania („ausrotten") ludności autochtonicznej, osiadłej od zarania historii na ziemiach „przyłączonych". Niemiecki „obszar życiowy" powiększył się przeto automatycznie, a zwycięska wojna światowa miała go poszerzyć o ziemie G. G., Ukrainy i w ogóle europejskiego Wschodu. Wprawdzie Niemcy nie brzydzili się używać (przymusowo) Polaków do pomocy w kolonizowaniu wschodnich komisariatów Rzeszy, w zasadzie jednak „u siebie" (tzn. na ziemiach przyłączonych) i stopniowo też w G. G.) Polaków zastępowali *osadnikami niemieckimi*. Szli oni do przemysłu i rzemiosła, gdzie byli niemal monopolistami, i do rolnictwa, gdzie im przydzielono polskie bydło robocze. Był to lichej material, pochodzący albo z Besarabii lub Nadbałtyki, albo z głębi Niemiec, zdemoralizowany wojną i jej skutkami. Ponieważ zaś okazał się ilościowo i jakościowo niewystarczający, zastosowano stary chwyt germanizacji ludności polskiej, stosując taki czy inny przymus wpisywania się na listy Reichs-, Stamm- i Volksdeutsch'ów oraz Leistungspolen.

Równolegle zastosowano wszechstronny system *pauperyzacji* społeczeństwa polskiego. Raz dlatego, żeby nas wyniszczyć i osłabić, a powtórnie dlatego, żeby skłonić do wyjazdu do Niemiec (o czym niżej). W tym celu stworzono głodowy poziom plac, rent i świadczeń, zredukowano niemal do zera publiczną opiekę społeczną, nałożono podatki wyższe od tych, które płacili Niemcy (tak na ziemiach polskich, jak i w Rzeszy). Następnie — przez skasowanie średniego i wyższego szkolnictwa siłą — Polak mniej umiał i przez to kwalifikował się do niższych szczebli zarobkowych. Na ziemiach „przyłączonych" zabraniano nawet niemieckim inżynierom, technikom i majstrom dzielenia się swymi wiadomościami z Polakami. Wreszcie — wprowadzono normy żywnościowe, które trudno inaczej nazwać, jak normami głodowymi.

Na ziemiach „przyłączonych" dyskryminacja elementu polskiego w porównaniu z Niemcami okazała się mniejsza, aniżeli w G. G. Na tych ziemiach Polak w 1943 r. otrzymywał tę samą co Niemiec ilość ziemniaków, twarogu i cukru, 5/7 jego przydziału marmelady, 1/2 mięsa, 1/3 tłuszczu, 2/3 chleba itd. Natomiast w G. G. przydział żywności dla Polaków w tym samym 1943 r. (przed poprawą) stanowił w kaloriach zaledwie mniej niż 1/6 (415 kalorii dziennie wobec 2.613); ludność żydowska w r. 1941 otrzymała „aż" 184 kalorie dziennie. *Caloroczny* przydział żywności w G. G. dla dorosłego Polaka wyniósł w 1942 r. 190 kg ziemniaków, 57 kg chleba, 5 kg mąki, 4 kg mięsa, 3 kg marmelady, 2 1/2 kg cukru, po 1 kg kawy zbożowej i cukierków i 25 sztuk jaj. W r. 1943 sytuacja pogorszyła się jeszcze i dopiero od 1. 10. 1943 r. podwyższono polskie normy żywnościowe, dochodząc — na papierze — do 939 kalorii dziennie dla normalnego spożywcy (przed tym 415), a w grupach ciężko pracujących — do 2.093 kal. wobec 2.602 kal. przeciętnie przed wojną.

Sytuację w G. G. ratował rynek nielegalny ze „szmuglerem", pasowanym na bohaterą narodowego. Ceny tego rynku, zawierające olbrzymi udział potwornego wprost ryzyka, były poprzez opłaty na rzecz skorumpowanej administracji i policji niemieckiej *dotatkowym obciążeniem podatkowym ludności polskiej*. Polska ludność miejska nie umierała wprawdzie z głodu, ale tylko dzięki wyprzedawaniu się lub redukcji innych potrzeb do zera. Skoro jednak wskaźnik kosztów utrzymania w przeddzień powstania warszawskiego wzrósł do 73 (1939 r. = 1), a żywność nawet do 95, to przy niezmiennych stawkach plac sytuacja warstw niezamożnych przedstawiała się w sumie rozpaczkliwie. Ratowała ją od katastrofy samopomoc społeczna na wielką skalę i omijanie wszelkich niemieckich nakazów i zakazów. Dzięki temu realny zarobek ludności miejskiej musiał być wyższy, aniżeli ten, który podaje Jastrzębowski: w 1942 r. place realne miały stanowić tylko 5% w stosunku do 1938 r. przy wzięciu za podstawę cen rynku wolnego. Ten ostatni był jednak decydujący, zajmując w odżywieniu polskiego mieszkańca miast 75—80%.

Wieś polska w G. G. znajdowała się w sytuacji lepszej, czerpała bowiem dochody ze sprzedaży żywności na rynek nielegalny. Dochody te były jednak pomniejszone nie tylko o koszty pośrednictwa między rolni-



kiem a spożywcą miejskim, ale również o koszty pośrednictwa między rolnikiem a miejskim podawcą czy twórcą towarów przemysłowych. Rynek nielegalny zaspokajał ok. 80% rynkowej konsumpcji wsi (Jastrz. 357).

Obrót nielegalny — poza wieloma innymi — miał jeszcze i ten minus, że przyczyniał się do pogłębiania różnic w podziale dochodu społecznego. Czy było ono zamierzone przez Niemców, jak chce Jastrzębowski, czy też nie — obojętne. Ważne jest, iż osłabiała spójność społeczeństwa.

Spauperyzowane społeczeństwo miało się stać woskiem w rękach polityki niewolnictwa. Polityka ta zmierzała do zdobycia masowych a przynusowo *tanich sił roboczych dla niemieckiego rolnictwa i przemysłu*, a także, by stworzyć w bilansie płatniczym G. G. równowagę przywozu wyrobów przemysłowych z Rzeszy i przekazów niemieckich do Rzeszy. Najważniejszą funkcją G. G. była dostawa robotników polskich do robót przymusowych w Niemczech. Tym samym nie mogło się Polakom dobrze powodzić w G. G., bo inaczej nie chcieliby wyjechać. Będąc Polakami, eo ipso stanowili tańszą siłę roboczą, przez co Rzesza, która ich eksploatowała, czerpała dodatkowe zyski. Jeżeli przypomnimy sobie, iż polski robotnik w Niemczech płacił dodatkowe opłaty i podatki, a pieniędzy swych nie mógł na większą skalę przesyłać rodzinie w kraju, to otrzymamy pełny obraz wyzysku, uprawianego przez Rzeszę na milionach polskich niewolników. Istotnie, Jastrzębowski oblicza ich z końcem okupacji na 3,5 miliona ludzi, w co nie wchodzi setki tysięcy więźniów obozów koncentracyjnych.

Dostali się tam oni w żadnym razie nie dobrowolnie. Nadzieje niemieckie, że Polaków głód zmusi do wyjazdu, zawiodły. Pojechali najwyżej tysiące, na miliony zaś trzeba było urządzać *łapanki*. Była to nigdzie — od czasów „Chaty wuja Toma” — niespotykana instytucja, stworzona i wykonywana przez współczesne państwo podobno cywilizowane. To, co w niewolnictwie kolonialnym było wybrykiem indywidualnego okrucieństwa, w Niemczech było *codzienną i powszechną metodą*. Niewolnictwo zaś nie jest żadnym frazesem: Polak w Niemczech był napiętnowany, wyzyskiwany i traktowany nie jak człowiek. Jak pogodzić zamiar Niemców stałego posługiwania się pracą polskiego najemcy (G. G. miało po wojnie dostarczać co najmniej 10% swej ludności polskiej) z odmówieniem mu praw ludzkich, skoro pracodawcom niemieckim nakazano traktować go jako wiecznego wroga, zabroniono widzieć w nim towarzysza pracy, odmówiono mu wstępu do „niemieckiej wspólnoty domowej”, rozłączono z rodziną, uniemożliwiono zakładanie rodziny, pozbawiono prawa społeczności ludzkiej i kazano mu być jedynie martwym narzędziem w rękach zwycięzcy?.. Ten ekonomiczny nonsens, za techniczno-gospodarczą niekonsekwencją tłumaczy się prosto: *politicum przeważało nad oeconomicum*. Polacy mieli być przede wszystkim zniszczeni. Niekoniecznie tylko pod murem, w obozach i krematoriach. Również poprzez nadmierny, a źle wynagradzany wysiłek, zahamowanie rozrodczości, utrudnienie leczenia i profilaktyki, głodowe normy żywnościowe itd. Prawdopodobnie zorientowano by się wkrótce, że taka metoda jest podcinaniem gałęzi, na której miał siedzieć naród niemiecki, o ile inne czynniki, decydujące w Rzeszy, nie wykazałyby, że nie będzie dziury w hitlerowskim niebie, jeżeli Polaków zabraknie do roboty. Ostatecznie była przecież Rosja z jej niewyczerpanymi zasobami ludzkimi.

7.

Pozostaje odpowiedzieć na pytanie: jakie skutki gospodarcze, demograficzne, moralne i polityczne spowodowało zastosowanie tych wszystkich środków, które miały do czynienia nie tyle z ekonomią, ile z patologią?

Straty materialne nie zostały jeszcze oszacowane. Jastrzębowski obliczał je (do r. 1943) w wysokości 40 miliardów zł przedwojennych; gdyby dodać zniszczenia 1944 i 1945 r., dosięgną one co najmniej 60 miliardów. Ważne jest również i to, że polityka okupanta, żonglującego ludźmi jak piłkami, wprowadziła daleko idący chaos i zamieszanie, których skutki odczuwamy jeszcze dzisiaj. Uderzone zostało szczególnie silnie większe i średnie rolnictwo oraz mieszczaństwo w Polsce Zachodniej. Spo-

wodować to musiało obniżenie kultury gospodarczej i pogorszenie warunków startu. W całej Polsce wojna i okupacja zahamowały procesy inwestycyjne, a rzadka tu i ówdzie akcja modernizacji aparatury gospodarczej była niczym w porównaniu z demontażem fabryk i dewastacją nieodnawianego majątku tak nieruchomego, jak i narzędzi pracy. „Ogólne rozmiary inwestycji... stanowią tylko niewielki ułamek kwot, które wedle norm przedwojennych winny być odpisane na amortyzację urządzeń” (321). Stan maszynizacji gospodarstw chłopskich pogorszył się więcej, niż poprawił się folwarków.

Posunięcia niemieckie miały w dużym stopniu charakter *strukturalny*. Niemcom chodziło o to, aby w podbitym kraju ludność *niemiecka* miała zdrowe warsztaty pracy tak w rolnictwie, jak i w przemyśle lub handlu. Dlatego też na wielką skalę — głównie w Polsce Zachodniej — przystąpiono do akcji *komasacyjnej*, brutalnie likwidując zbędne przedsiębiorstwa i łącząc je ze sobą. „Władze okupacyjne... przeprowadziły szeroką akcję rászczenia niektórych kategorii warsztatów pracy, przystąpiły do mechanicznej, bezpośredniej komasacji pozostałych warsztatów” (292). Sealiono przeto znaczną ilość gospodarstw zbyt małych, łącząc je w większe; odwrócono więc proces parcelacji, jaki miał miejsce w Polsce przed wojną, i utrudniono reformę rolną, jaka nastąpiła w wyniku dekretu lubelskiego. Na ziemiach „przyłączonych” skomasowano połowę użytków rolnych malej własności i zmniejszono liczbę gospodarstw o 200.000. Zlikwidowano tamże 2/3 przedsiębiorstw drobnego przemysłu, rzemiosła i handlu, a w G. G. — przeszło połowę takichże przedsiębiorstw. W znacznym stopniu padły ofiarą tego zabiegu przedsiębiorstwa żydowskie.

Lościowemu zmniejszeniu obiektów gospodarczych, procesowi nie tylko ujemnemu, towarzyszyła świadoma i nieświadoma *prymitywizacja aparatury gospodarczej*, pozostawionej Polakom. Świadomie pozbawiono nas szczytowych form i przedsiębiorstw, zwłaszcza w przemyśle przetwórczym. Nieświadomie spowodowano powstanie handlu nielegalnego, którego forma musiała być w zasadzie prymitywna i, co gorsza, niezdrowa. Rynek nielegalny w G. G. był potężniejszy od legalnego; „zasięg tego prymitywu kupieckiego był ogromny, manipulował on wszelkimi towarami w ilościach znacznych, przewozy dokonywane były na wielkie odległości, sieć jego ogarniała cały kraj, stanowiąc fenomen spontanicznej organizacji, ogromnie skomplikowanej i elastycznej, a jednocześnie zwartej i mocnej” (315). Fenomenalność tego zjawiska tkwiła w tym, że handel nielegalny jako całość był silny, ale jego poszczególne egzemplarze pracowały mimo wszystko w sposób prymitywny; świadczyło o tym zwłaszcza rozwielenienie się handlu targowiskowego, ulicznego i domokrajnego. Co więcej — handel nielegalny żył spekulacją, uświęcał stosowanie wielkiej liczby ogniów pośredniczących, tolerował spadek etyki kupieckiej i wpływał na efemeryczność powstających form organizacyjnych. Zarazem był to jednak przejaw odporności społeczeństwa polskiego, skazanego na zagładę przez okupanta, który nie mógł przewidzieć, że z handlu nielegalnego może się utrzymywać nie tylko jednostka, ale i cały naród.

Sumując wszystkie plusy i minusy planowej i mimowolnej akcji okupanta na odcinku gospodarczym, trzeba dojść do wniosku, że okupant nie osiągnął zbyt doniosłych rezultatów gospodarczych. Były one „znacznie mniejsze, niż by to wynikało z szerokiego zasięgu planów i radykalności zastosowanych metod i środków realizacyjnych. Na przeszkodzie stanęły wymagania toczącej się wojny, stwarzające konieczność odłożenia na przyszłość niektórych zamierzeń, a nawet niekiedy konieczność działania w sposób sprzeczny z tymi zamierzeniami. Poza tym system prawny i administracyjny, zmierzający do sterylowania ludności i pozbawienia jej wszelkiej zdolności oporu, łagodzony był w praktyce przez niedoskonałą sprawność aparatu wykonawczego oraz przez solidarność i zaradność przeciwstawianą mu przez ludność polską” (218). Można powiedzieć, że *okupant stworzył polskie mieszczaństwo*, liczebniejsze i zręczniejsze od polskiego mieszczaństwa Polski Zachodniej. Prymitywizacji form towarzyszyło przytem podniesienie poziomu techniki i wykona-

nia; wyroby rzemiosła i drobnego przemysłu jakościowo stały wyżej od przedwojennych. Społeczeństwo polskie wyrobiło w sobie wielką *odporność i zmysł gospodarczy*, chociaż często zabarwiony pierwiastkami *spekulacji i paskarstwa*. Stworzony został w wyniku okupacji wysoki potencjał psychiki gospodarczej, czego za minus uważać nie należy. Ułatwione również zostało zadanie, jakie na nas spadło po wojnie: *nacjonalizacja przemysłu*. Fakt, że „zdolność produkcyjna gospodarstwa narodowego uległa zredukowaniu w słabszym stopniu, aniżeli liczba ludzi, potrzebnych do jego obsługi” (J. 327), sprzyja a nie przeszkadza racjonalizacji i unowocześnieniu przemysłu w Polsce.

Inne, bez porównania tylko ujemne skutki miała okupacja na odcinku *materiału ludzkiego*. Wymordowanie kilku milionów Polaków i Żydów — to, pomijając aspekt humanitarny, olbrzymi uszczerbek w żywej sile twórczej. Nie ma ludzi niezastąpionych, ale jeden drugiego zastępuje nie bez trudu i gdy przedtem pracowało 4, gdzie dzisiaj jest już tylko 3, nie może się obejść bez zahamowań i opóźnień. Do tego dochodzi i demoralizacja wojenno-okupacyjna (o której za chwilę), i wytepienie inteligencji zawodowej, i przetasowanie ludzi z Zachodu na Wschód w 1940 r., a ze Wschodu na Zachód od 2 lat, i — wreszcie — trwająca po dziś dzień emigracja (według obliczeń z czasów konspiracji liczba osób, usuniętych ze swych siedzib, wyniosła 10 milionów). Demograficzny wpływ nie mógł nie wywrzeć wpływu na obecną naszą nie tylko sytuację, ale i strukturę gospodarczą. On to w dużym stopniu przesądził konieczność akcji koncentracyjnej i przechodzenia od form drobnej przedsiębiorczości do form bardziej zwartych i o masowym działaniu.

Pozostają do rozważenia skutki *moralne*. Jeden jest niewątpliwie plus okupacji: wzrosło poczucie więzi państwowej, narodowej i społecznej, wzmogło się poczucie zagrożenia i konieczności oporu i odporu. Ale równolegle pogorszyła się „moralność społeczeństwa, które żyło — można by powiedzieć — jedynie dzięki nadzyciom, łamaniu prawa (wprawdzie wrogiego, ale zawsze prawa), nielojalności, niekarności itp. Obywatel polski uczył się, że reglamentacja zamiast porządkować dezorganizowała rynek, że spryt służy do wyszukiwania zakazanych ścieżek i omijania norm prawnych, że wysiłek fizyczny więcej znaczy od trafnych koncepcji, że urzędnika, o ile nie kieruje nim fanatyzm polityczny, można kupić zawsze i wszędzie, że dwiistość rynków ma same minusy, plusy zaś są bez znaczenia, że można pobierać dowolne ceny i marże, bo i tak odbiorca zapłaci, że oplaci się fałszować dokumenty, że łapówka jest takim samym elementem kosztów handlowych, jak komorne lub materiały piśmienne, że w nadużyciach w dzy, brutalności i nieuczciwości funkcjonariuszów państwowych tkwi nie przypadek, lecz system, który się tym funkcjonariuszom oplaca, bo jest bezkarny, a nawet zalecany, że ludziom tym zależy na stałej dezorganizacji rynku, że handel jest najbardziej rentowną i najmniej kłopotliwą formą zarobkowania itd., itd. Skutki tej masowej „lekcji” odczuwamy do dziś dnia na każdym kroku i przy każdej okazji.

8.

Jaki wpływ na *zachowanie się Polaków wobec okupanta* miał zastosowany przezeń system gospodarczy?

Z całą pewnością system ten spotkał się z nienawiścią, oporem, bojkotem i sabotażem. Robiono wszystko, by go wyzyskać — obronnie — na własną korzyść lub spacyfikować, wykrzywić, ośmieszyć i storpedować. Zdawano sobie sprawę, że służy on temu samemu celowi, co Oświęcim, Majdanek, Treblinka, Pawiak, posługuje się jedynie odmienną metodą. Nie dopuszczano myśli, że może tkwić w nim — choćby mimowoli — pierwiastki dla nas dodatnie.

W żadnym razie nie wywarły oczekiwanego skutku ulgi, stosowane przez Niemców w wypadkach sporadycznych, gdy sytuacja wojenna zaostrzała się na ich niekorzyść. Powszechną była świadomość, że „Niemiec kiepsko się czuje, skoro udaje człowieka” (J. 131). Przyjmowano cum grano salis wyjątkowo korzystniejsze dla nas posunięcia gospodarcze, podyktowane obawą, że same represje nie wystarczą, by osiągnąć efekt gospodarczy, a tym samym

i polityczny. Za to Niemcy wierzyli w gospodarce podejście do sprawy. „Kiedy wypróbowano już wszystkie metody, jak np. kontrybucje po wsiach i powiatach, militarne oczyszczanie wsi, użycie policji i organizacji policyjnej ludności niemieckiej, zamykanie kleru, aresztowanie wójtów i kiedy wszystkie te metody same nie doprowadziły do celu — powiedział p. Körner, „minister” wyżywienia i rolnictwa na posiedzeniu u Franka w czerwcu 1940 r. — wprowadziłem wielką akcję wymienną cukru na jaja” (J. 205). Nawiwni Niemcy sądzili, że cukier zdolny jest osłodzić takie „drobiazgi”, jak „spalenie dla postrachu paru gospodarstw, rekwizycja inwentarza żywego i sprzętu, zorganizowane bicie gospodarzy w urzędzie gminnym, zabieranie ludzi na roboty przymusowe w Niemczech i do obozów koncentracyjnych” (ibid.), nie licząc mordowania ludzi.

Działając pomocniczo na odcinku ekonomicznym, ulgi czy premie nie miały żadnego wpływu na odcinek polityczny. Społeczeństwo widziało w ulgach i premiach „elastyczny odwrót” okupanta, przyznanie się do porażki itp. Brano je w myśl powiedzenia: „głupi daje, mądry bierze”. Postawy i nastroju nie zmieniały one ani na jotę. Uprawiano w dalszym ciągu sabotaż i omijanie zarządzeń niemieckich i w dalszym ciągu organizowano się inaczej, niż by tego sobie życzył okupant. Przygotowywano się czynnie do niepodległości, odrzucając bez zastrzeżeń niemieckie instytucje i normy. Nie brano pod uwagę, czy mogłyby się przydać lub dopasować; emocjonalny stosunek do nich wykluczał rozumowe podejście do rzeczy. Sublimowano każdy krok własny, zamykając oczy na jaszkawość „kontrastów w podziale dochodu społecznego, szkodliwą przewagę spekulacji nad kalkulacją, efemeryczność powstających form organizacyjnych, spadek etyki kupieckiej oraz inne zjawiska szkodliwe dla gospodarstwa narodowego, a dla okupanta w jego dalekosygnalnym zamierzeniu pożądaną” (J. 376). Wyrabiali się w społeczeństwie polskim wielką jego odporność, „drobiazgową zaradność, praktyczny zmysł przystosowania się do istniejących warunków, przewyżczenie przeszłości, talent organizacyjny” (ibid.), ale zarazem zapomniało ono o metodach pracy zespołowej i odrzucało idee kolektywizmu czy upaństwowienia w jakiegokolwiek ich postaci. Wprawdzie konspiracyjna Rada Jedności Narodowej uchwaliła program społeczno-gospodarczy stosunkowo radykalny, starając się wyjść naprzeciw „ducha czasu” i rewolucyjnym dążeniom obozu lewicowego, społeczeństwo jednak, przeżywając w *spóźnionym* terminie fazę *mieszczańską*, nastawiało się w przeważającej większości na „ideologię” tzw. inicjatywy prywatnej.

I z takim bagażem „ideologicznym” weszliśmy poprzez ruiny i groby do Trzeciej Rzeczypospolitej.

Kazimierz Sokołowski

## WYDAWNICTWO

## „POLIGRAFIKA”

Łódź — Sienkiewicza 18. Telefon 180-22

Polecia ostatnie nowości:

Do nabycia we wszystkich księgarniach

Hertz i Rowejski Z NASZEJ

ŁOŻY. Humoreski. Okł. barw-

na proj. R. Szalasa. Form. z1

A5. Str. 176 200.—

Czerwiński M. i Paszkowski K.

WARSZAWA BOHATER-

SKA. 1939—1945. Antolo-

gia poezji i prozy. Okładka

i obwoluta proj. R. Szalasa

Rys. i zdobniki A. Puchal-

skiego. Format B5. Str. 192 300.—

Piotrowski Jan OJCIEC CU-

DZYCH DZIECI. Wspomnie-

nia o „Starym Doktorze” Ja-

nusz Korczaku. Okł. proj.

P. Świątkowskiego. Form. A5.

Str. 56 70.—

Sojecki S. i Stefański S. SCIA-

NY MAJĄ USZY. Powieść,

Faktomontaż. Okł. proj. P.

Świątkowskiego. Form. A5.

Str. 272 300.—

Słomczyńska Jadwiga MARIA

KONOPNICKA. Życie i twórc-

czość. Z portretem poetki.

Okładka barwna proj. R. Sza-

lasa. Form. A5. Str. 288 300.—

Słonimski Antoni LITERATU-

RA NA EMIGRACJI. Antolo-

gia „Nowej Polski”. Wielo-

barwna okładka i obwoluta

proj. R. Szalasa. Format B5

Str. 384 500.—

Wells H. G. JUTRO LUDZKO-

SCI. Konieczność reorganiza-

cji świata. Fragment z ostat-

niej książki H. G. Wellsa

„Sfinks”. Form. B5. Str. 32 40.—



MIECZYSLAW JASTRUN

## BORYS PASTERNAK

Czytając wiersze Pasternaka natrafiamy raz po raz na utwory, pełne takiej siły i świeżości wyrazu, że trudno byłoby dla nich znaleźć porównanie w całej nowszej liryce.

Motywy od wieków zdawałyby się zużyte i starte odzywają w poezji Pasternaka, przemieniają się, zaskakują nowością. Czarodziejstwo poety daje im głos i sprawia, że nie dziwimy się nieprawdopodobnemu tokowi zdania, fantastycznym metaforom, monstrualnym obrazom i zderzeniom spółgłosek.

W nowej liryce nikt tak potężnie, jak on, nie wyraził samą kandydacją zdania, nagłymi obrotami mowy, pauzami i przeczuciami tego wszystkiego, co w milczeniu i w mowie potocznej jest nieme.

Pasternak — obok Majakowskiego — jest odnowicielem poezji miłosnej i największym — obok romantyków — mistrzem krajobrazu w poezji rosyjskiej.

Dzięki niezwykłym, raz brutalnym, raz czułym kontekstom uzyskuje poeta zupełne odnowienie materii wiersza. Te zeknięcia odległych pojęć i obrazów są niezwykle śmiałe. Jako przykład niech posłuży jeden z dziwniejszych wierszy Pasternaka, w istocie swej nieprzetłumaczalny, dlatego podaję go tutaj w transkrypcji prozą, oczywiście dalekiej od wdzięku i siły oryginału:

„Tędy przesunął się zagadki tajemniczy paznokciec. — Późno, wyśpię się, przed świtem przeczytam i pojmę. A póki nie rozbudzą, obejmować ukochaną, tak jak nikt dotąd. Jak ja dotykałem ciebie! Nawet miedzią warg moich poruszałem cię tak, jak tragedia porusza widownię. Pocałunek był jak lato. Przedłużał, przedłużał. Dopiero później zrywała się burza. Pił jak ptaki. Wypijał do oszołomienia. Gwiazdy długo sączą się gardłem do przeliku, a słowiki przymykają oczy z drżeniem osuszając po kropki nocne nieboskłony”.

W utworze: „Wiersze me biegiem, biegiem... z późnego cyklu „Fale” — ostra instrumentalizacja, nagłość skojarzeń, brutalność zestawień, która służy wyrażeniu „straszego dziedzictwa mieszczań”, kontrastuje z nieporównaną czułością, by znaleźć ujście w strofie ostatniej, przypominającej prostotą swoją erotyki Puszkina. Zastanawiające jest słownictwo Pasternaka. Język recepty aptekarskiej, nomenklatura chorób zakaźnych — obok namiętnej mowy Lermontowa i spokojnego toku Puszkina. Gruby dziwołóg fonetyczny obok szczybioty Petrarki, z futuryzmu, zwłaszcza z Chlebnikowa rodem — barbarzyńskie igraszki słowne, gry wyrazów sztuczne i natarczywe — obok naturalnego, czystego brzmienia klasycznej strofy.

Mistrzostwo Pasternaka szuka ujścia w nieskończonych wariacjach na temat pór roku, widoków nieba i ziemi, powrotów wiosen i srogich zim rosyjskich. Przez strofy jego kanciaste, grzmiące, zawsze zdynamizowane, przewalają się nieustannie deszcze, ulewy, burze, zamiecie śnieżne.

Najbardziej eksperymentalny charakter noszą pierwsze zbiorki Pasternaka. W dojrzałym mistrzowskim tomie wierszy „Tematy i wariacje” pojawiają się obok reminiscencji z „Fausta” motywy puszkiniowskie, które w tej niezwyklej książce przybierają wciąż nowe, przemienne kształty. W pierwszym tomie Pasternaka: „Życie — moja siostra” jedno ze szczytowych osiągnięć jego twórczości, wiersz „Pamięci Demona” nawiązuje do poematu Lermontowa. W pięciu potężnie zwartych strofach rzuca Pasternak wspaniałą syntezę poetycką „Demona”. W którymś ze swych szkiców opowiada Erenburg o wrażeniu, jakie wywarł na nim ten utwór, przeczytany mu przez młodego wówczas autora. Erenburg zro-

zumiał wtedy, że Rosja otrzymała nowego, wielkiej miary poetę.

Nie ma bodaj poety, który by nadał kształt równie dynamiczny rojeniom, nurtującym lirykę ubiegłego okresu. Sensualizm, właściwy wyobraźni akmeistów rosyjskich, a potem również metodzie kilku następnych poetów, tu znalazł pełnię nieporównaną — inaczej niż u Leśmiana — bez przymieszek metafizyki i bez animalizmu. Pasternak w najlepszych swoich utworach, jeśli pominąć zbędne i niecierpliwiące igraszki z okresu jego poszukiwań formalistycznych, jeśli pominąć te próby o charakterze brulionowym, pozostałe wierny doświadczeniu ludzkiemu. Widać, jak jego siła liryczna narasta, jak szuka ujścia nie mogąc pomieścić się w świecie, odczucym zmysłami, jak nie nasyca jej magia słów i piękno przyrody.

Co począć ma straszliwe piękne

Bzu, co na ławce obok przysiadł?

Niewątpliwie, poeta, który te słowa napisał, należy już w naszym odczuciu i rozumieniu do przeszłości. Stwierdzenie to nie zmierza bynajmniej do umniejszenia wspaniałości intymnej i impresjonistycznej liryki Pasternaka. Krytycy, którzy atakowali niejednokrotnie Pasternaka za jego „oderwanie od rzeczywistości” szli po linii dalekiego od prawdy uproszczenia. Ten zarzut jest tak powszechnie i w różnych okolicznościach stosowany, że woła o zasadniczą rewizję. W naszej rzeczywistości historyczno-literackiej oskarżenie to wystąpiło w skali olbrzymiej, i w tej skali niesprawiedliwość oceny, nabrała barw szczególnie ostrych. Wiadomo przecież, że dla współczesnych Słowacki był za mało „narodowy” i za mało „realny”. Z symboliką jego poezji oswoiły się dopiero następne pokolenia. Jest tajemnicą wielkich poetów to powolne drażnienie w ciemnościach czasu, powolne rozjaśnianie się coraz szerszych warstw ich twórczości. Nie chodzi tu, rzecz jasna o analogie historyczne. Skala i czas są na tyle odmienne, że wyłącza ją celowość porównania. Chodzi o sprawę powszechniejszą, o sprawę współczesności poetów.

Widzę w poezji Borysa Pasternaka ten rys niezmiernie ważny, bez którego poeta tak łatwo — żeby przypomnieć formułę Norwida staje się notariuszem i kaligrafem. Jest to poczucie czasu historycznego, nurtu wydarzeń politycznych, przeszłości, która je poprzedza i przysięga, która ją wyprzedza. I wcale nie chodzi tu o poezję tendencyjną w prymitywnym rozumieniu. Widzieliśmy w naszym pokoleniu w kraju i za granicą kruchość i niepełność literatury tego rodzaju. Wielki Majakowski, on jeden, i to kosztem wielu wyrzeczeń, panuje dotąd samotny nad ćwierćwiekiem. Majakowski rozsadził kanon poetycki parnasizmu i symbolizmu nie tyle przez rozbicie materii wiersza, ile przez wniesienie tematyki politycznej do liryki, w skali nieznanej przed nim. Ukazał on w sposób przekonujący możliwość wprowadzenia do wierszy i poematów terminologii politycznej, pisał utwory publicystyczne dla szerokiego audytorium. Terminy budownictwa socjalistycznego okazały się w jego rękach równie poetyckie jak w czyichś innych nazwy gwiazd i kwiatów, słowo „partia” zagrało w jego wierszach dźwiękiem poezji.

Przesąd, który dotychczas utrzymuje się u nas i na zachodzie Europy o wyższości tematów, tak zwanych „wiecznych” nad okolicznościowymi, politycznymi, nie świadczy dobrze o stanie poezji współczesnej. Ani Horacy, ani Dante nie znali tego, zamkniętego przez skrajny symbolizm roz-

działu. Tkwi w nim zasadnicze nieporozumienie. Każdy bowiem wiersz liryczny, jak to już zauważył Goethe, jest utworem okolicznościowym. Dodałbym dla wyjaśnienia, że liryk nie pisze o miłości w ogóle, ani o pocałunku wiecznym, lecz zawsze o miłości doświadczonej i o konkretnym pocałunku.

Trudno oszczędzić sztyretwa tym poetom, którzy selekcjonują tematy według skali „ważności wiecznej”.

Nie ma podziału tematyki na śmiertelną i nieśmiertelną, są tylko mniej lub bardziej bezpośrednie środki wyrazu.

Borys Pasternak nie pisał wierszy o płatkach, oddał jednak z prawdziwą czułością rytm swego czasu, usłyszał jego pierwsze pomruki w poematach „Rok 1905” i „Leitnant Szmid”, wyraził łamanie się postępowej inteligencji rosyjskiej, zaskoczony bezwzględnością rewolucji, nie pozostał jednak malkontentem. Ponad piękno ruin wyniesie piękno działania („Pamięci Larisy Rejsner”), w poemacie „Wysoka choroba” ukaże dramat epoki, starcie się „pierwszej miłości ziemi” — klasy odchodzącej — z nacierającą siłą rewolucji. W zakończeniu poematu — Lenin ukazany jest poprzez szczególną, właściwą intelektualnemu stylowi Pasternaka szermierkę pojęć. Postać przywódcy proletariatu wylania się z tej zintelektualizowanej, a przy tym gorącej mowy, jak gdyby już ujrzana z odległej przyszłości.

Prawdziwe poczucie historii pozwala Pasternakowi w kilkunastu strofach wiersza o Balzaku dać syntezę jego twórczości, ukaże atmosferę mieszczańskiego Paryża, kilku rysami wydobyci charakter epoki.

W osnowie wiersza o Szopenie, obrazy i abstrakcje tworzą niezwykle czystą, choć skomplikowaną tkaninę, służąc wyrażeniu tego wszystkiego, co w muzyce Szopena jest współczesnością i tego, co jest zapowiedzią. Wiersz — niemal po norwidowsku — zakończony runięciem wieku dziewiętnastego na trotuar.

W innym utworze — pożegnanie z miłością młodzieńczą, z Werterem, kończy się przejmującym zdaniem:

A dziś powietrze nawet pachnie śmiercią,  
Otworzyć okna, te żyły otworzyć.

W związku z romantycznymi reminiscencjami w niektórych wierszach Pasternaka mówi się niekiedy o romantyzmie czy symbolizmie tego poety. Ale pamiętajmy, że określenia te w zastosowaniu do pisarza współczesnego nie noszą żadnej konkretnej treści. Można co najwyżej stwierdzić, że z romantyzmu rosyjskiego wziął Pasternak ten szczególnie ton, który jest natchnieniem jego najbardziej nawet formalistycznie skłębionych wierszy. Lermontow przypomina się niejednokrotnie przy lekturze Pasternaka; wśród kolczastych i brylowatych strof pojawia się, jak wytchnienie, klasyczna zwrotka, godna Puszkina.

Jest symbolistą o tyle, o ile nadaje słowom potocznym sens podwójny, pomnażając ich znaczenie.

Wielcy poeci nie dają się na ogół podciągnąć pod tego rodzaju upraszczające formuły. Nie słuchają, bo słuchać nie mogą, nawet najzyczliwszych.

Mówi się poetom, że powinni pisać tak lub inaczej. Jest to nieporozumienie. Koloryt wierszy, jest w małym stopniu zależny od woli poety. Jasny lub ciemny ton wierszy, podobnie jak sposób łączenia barw w obrazie, jest w dużej mierze poddany wyobraźni pisarza, która nie jest zagadnieniem wyboru.

Trudno wyobrazić sobie Dantego w tonacji Petrarki, nie do pomyslenia jest Leonarda da Vinci w barwach Rafała. Kto patrzy na Pasternaka przez okulary poezji

Majakowskiego, popełnia błąd, nie poparty rozsądną racją. Te dwa zjawiska w nowszej poezji radzieckiej uzupełniają się znakomicie i zamykają bodaj bez reszty jej obszar.

Przyszły komentator dzieł Borysa Pasternaka będzie musiał uwzględnić — obok właściwości technicznych, które tworzą tkaninę jego strof, obok różnych składników przepalonych w jedyną w swoim rodzaju całość w gwałtownym ogniu jego mowy — olbrzymie tło dziejowe, którego odbłyski oświetlają raz po raz wnętrza jego poematów, będzie musiał zbadać nawierzchnię jego epoki, której rysy, spękania i szczeliny pozostawiły nie jedno odbicie w jego wierszach.

On sam zdawał sobie sprawę z powikłań, z których nie zawsze wyszedł obronną ręką. W roku 1928 pisał o poecie:

Kłębiąc się w stu rękawach, wpięty  
Jak dym porusza się za dni tych  
Z stulecia fatalnego przerwy  
W inny zaulek nieprzebyty.

Wyrwie się dymiąc z wyrw i luk  
Losów, splaszczonych w ziemi mrokach,  
I jak o torfie powie wnuk:  
Jarzy się Jego-to epoka.

To pełne dumy wyznanie znajduje potwierdzenie również w essayach Pasternaka, w których wyznacza on poecie miejsce wysokie. Wypowiedzi te i szkice komentują w dużej mierze twórczość ich autora. Nie wolny jest w nich Pasternak od często wątpliwej metody impresjonistycznego tłumaczenia zjawisk sztuki i literatury. Nie wolny od nadmiernego zaufania do instynktu, natchnienia, intuicji.

Jednakże raz po raz pęka pod naciskiem myśli ten krąg impresjonistycznego stosunku do życia. „Jak każdy wielki artysta — pisał Pasternak o Verlaine — żądał on nawet od poezji, a więc sztuki słowa, nie słów, lecz czynu, to jest pragnął, by w poezji zawarta była rzeczywistość uczuć i przeżyć, lub naoczne świadectwo prawdy”.

W tak pojętej sztuce poetyckiej zwięża się zakres tematów godnych pióra. Rozrzućnik poddaje się samoograniczeniu. Naturalność staje się największą zaletą.

Jest rys, tak naturalny zawsze  
W poetów wielkich doświadczeniu,  
Że nie podobna ich poznawszy  
Nie skończyć pełnym zamilczeniem

Słowa te napisał poeta w ostatnim przed drugą wojną światową cyklu. Lata wojny przyniosły nową próbę. Przyśpieszyły rewizję długiego okresu literatury. W wierszach, pisanych w tym czasie, poeta stara się pojąć i wypowiedzieć nędzę i bohaterstwo tych lat i ogarniając spojrzeniem całą swoją i swego narodu drogę, wyznaje:

Milcząc — wśród przemian, co narosty  
Pośród lat wojen i zniszczenia  
Odnajdywałem rysy Rosji,  
Jej rysy nie do powtórzenia.  
Walcząc z zachwytem bezgranicznym  
Patrzyłem z uwielbieniem w twarzy  
Na ludzi z osad okolicznych,  
Baby, studentów i ślusarzy

Nie było śladów poddańczości  
I nędzy w ruchach ich i mowie,  
I niewygody i nowości  
Nosili lekko jak panowie.

Tak oto poeta, zawieszony między przeszłością a przyszłością, on, który pisał o odległej „dali socjalizmu”, dostrzega jego rysy już w teraźniejszości.

Mieczysław Jastrun



BORYS PASTERNAK

## W I E R S Z E

## Styczeń 1919 roku

Ow rok! Nieraz u okna blisko  
Podjudzał, szeptał stary — „Rzuć się!”  
A oto nowy przegnał wszystko  
Na baśni dickensowskiej nucie.

„Zapomnij” — szepta — „To przemienie”  
I wzbiera w termomistrze z słońcem,  
Gdy tamten darząc mnie strychnią  
W próbówkę z cjankiem spadał w kośćcu.

Jego to zorzą, jego ręką,  
Leniwym w'aniem jego włosów,  
Za oknem czerpię spokój miękki  
I piactwa jak u filozofów.

Gdy przyszedł, legł promieniem isniącym  
Z chodników i ze śnieżnej skruchy,  
Nieustęplwy i gorący,  
Człecie pić, domaga się, nie słucha.

Jest bezprzytomny. Z nim nadleciał  
Szum miasta — temu nie zaprzeczysz:  
Bo nie ma takich trosk na świecie,  
Z których by śnieg cię nie wyleczył.

Przełożył Jerzy Kamil Weintraub

## Pamięci Larisy Reisner

Lariso, oto żem nie śmierć, boleję  
I wiem, żem wobec niej jam zero, nic,  
Rozpoznałbym, czem trzyma się bez kleja  
Opowieść żywa na urywkach dni.

Jak ja się przyglądałem materiałom!  
Walły zimy, kupa, długł czas  
Zamiecie się kołdrami otulały,  
Przy piersi mając niemowlęta mlask.

Przechodnie mającycyli w niepogodę,  
Pelznący wóz zakręcał gdzie u wrót.  
Po szyję lata się nurzały w wodę,  
Potoki nowych zagradzały bród.

A w alembiku nowe życie wrzało  
Wciąż uporczywiej, szła budowa gniazd.  
Roboty latarniami otaczano  
Przy świetle słów, rozumu oraz gwiazd.

Rozejrzmy się — i któż z nas nie zlepiony  
Z rozwianych strzępków, z niedomówień mgły?  
Nas wychowywało piękno ruin, ponad  
Pochwały wszelkie wyższaś tylko ty.

Ty jedna, w stawie legła pośród bojów,  
Zachwytu zwartą salwą rwałaś w dal.  
Czymże jest czas? Jeśli to można pojąć,  
Niech życie jasną ci odpowiedź da.

Tyś, rzekłbym, burzą gracji się dymią.  
Pośredniość, gdy w jej żywym ogniu, w niej  
Przez chwilę trwała, była ci niemila,  
Niedoskonałość zaś wzbudzała gniew.

Więc zstępuj, bohaterko, w głąb legendy  
Nie, nie utrudzisz stóp na szlaku tym,  
Bądź nad myślami mymi firmamentem,  
Bo myślę dobrze w wielkim cieniu twym.

Przełożył Władysław Broniewski

*Reisner, Larisa Michajłowna (1895 — 1926) — essayistka, dziennikarka i działaczka społeczna. W latach rewolucji październikowej była komisarzem Morskiego Sztabu Generalnego. Najlepsze jej książki to — „Hamburg na barykadach” i „Portrety dekabrystów”. Piękna, młoda, ustalantowana, niezmiernie czynna, była jedną z najbardziej ofiarnych przedstawicieli rewolucyjnej inteligencji rosyjskiej.*



Borys Pasternak

## Wiosna

Tę wiosnę człek inaczej czuje.  
Weselej dźwięczą wróble swary.  
Wyrazić nawet nie próbuje,  
Jak w duszy jasno, nie do wiary.

Inaczej myśli się i pisze,  
I jak oktawę gromką w chórze,  
Potężną, ziemską mowę słyse  
Terenów, co już przeszły burzę.

Wiosenne mej ojczyzny tchnienie  
Ślad zimy zmywać już zaczyna  
Z przestrzeni, i — krąg ciemnych cień  
Z płaczących oczu Słowianina.

Niebawem trawa tryśnie wszędy,  
Choć młczy Pragi bruk prastary,  
I młczą ulic głuchych skrety,  
Lecz rozigrają się, jak jary.

Podania Czechów i Morawian,  
I Serbów, ową wiosną tkliwa,  
Zerwawszy więzy lat bezprawia,  
Jak kwiat przebija śniegu szkliwo.

Czar baśni będzie bił z wszystkiego,  
Jak z malowideł, gdzieś na ścianach  
Wasyla Błogosławionego,  
Czy sal bojarskich pozłacanych.

Dla marzyciela śródnoconego  
Jest Moskwa czymś najdroższym w świecie;  
On w domu źródło ma wszystkiego,  
Czym kwitnąć będzie to stulecie.

Przełożył Leonard Podhorski-Okolów

## Margaryta

Sińszy od zagryzionych do krwi warg Margaryty.  
Rwąc na sobie, jak sidła, zarośla, co sił,  
I goreceł, niż oczu jej białka-błękity,  
Słowik ciskał się, klaskał, królował i śnił.

Bił jak zapach od trawy. I jak rięć potyskliwa  
Oszalał ulewy, wśród czeremchy się chwiał.  
Korę drzewa odorzał. I do ust podchłystywał  
Dech zapierał. Zawisał na warkoczu i trwał.

Gdy jej ręka zdumiona do oczu, i w deszczu  
Margaryta do srebra się przeży jak luk,  
Rzekłbyś, że to pod kaskiem galezi i deszczu  
Amazonka w gęstwinie zwała się z nóg.

I kark z jedną jej ręką w jego rece, a prawą  
Załamala za siebie, gdzie uwiązł, gdzie tkwił,  
Gdzie zawisnął cierniowy jej szyszak płatawą,  
Rwąc na sobie, jak sidła, zarośla co sił.

przełożył Julian Tuwim

## L a t o

To Iripień — wspomnienie o ludziach i ter  
Swobodzie, ucieczce z niewoli złych dni,  
O sośnie śród znoju, o szarym powoju,  
Odmianie pogody, ulewy i mgły.

O białej werbenie, o cierpkim cierpieniu  
Żywicy; o druchach, dla których nie znów  
Nie znaczą pochwały, ni moje chełpienia,  
Ni moje stopiewnie, ni próżna cześć słów.

Wilg nagłe zjawienie — ich krzyk przeraźliwy —  
Zólcilo drzew korę w kitajkę i czerń,  
Lecz sosny nie chciały poruszyć igliwien,  
Wlewiórkom i żołnom najety swój cień.

Zawilgły komody, o zmianie pogody  
Z gałązki drzewianka przyniosła nam wieść.  
I dudek zamieszkał na belce przy schodach,  
By dzieciom dogodzić — za piecem grał świerszcz.

W dni Zjazdu sześć kobiet szło tany swe wieść.  
Leniwie się pasty w oddali obłoki.  
Zmierzczało; wymyślnym manewrem zmrok parł,  
Płonące topiany powiązał z półmrokiem,  
A z ziemią — sążniasty cień ostów wysokich,  
A z niebem — pasiały zapasek pożary.

Zmierzczało; na kleczki stawiając przestworze  
Horyzont wzdłuż brudzy zamykał się w krąg —  
Jak rogi jelenie wzdymały się zorze  
I z slana wstawały i brały je z rąk  
Od dziewcząt, co bojąc łobuzów się może,  
Na hak, po powrocie, drzwi zamkną od tak.

I tuż przed wyjazdem, stąpając po syplkiem  
Listowiu, opadłym w malinę i żar,  
Jam z nieba, jak z warg zaciągniętych wysypką,  
Przemilczeń powłokę rękawem swym zdarł.

A jesień, dotychczas krzyżująca czaplami,  
Przetarła już gardło; pojęliśmy tu —  
Jesteśmy w odwiecznym prawzorze ci sami —  
Na uczcie platońskiej w czas dżumy i snu.

Skąd znów ta rozpacz i żal Diotimo?  
I gdzież zapewnienie, co przerwie twój lęk?  
Po serca ulicach z ciemnicy oczyma  
Drzwi szerzej! Za przyjaźni! Zbawienie mi śle!

Czyż to są też Mery harfistki zaśpiewy  
Że losu igraszką pod dłonie jej legł  
I harfą huragan pustynny rozbrzmiewa  
Wieczności, być może, rekojmia i brzeg.

Przełożył Seweryn Pollak



WANDA ŻÓLKIEWSKA

## REINHARD I ANNA

Fchała pod górę rower, gdy ją po raz pierwszy zobaczył we wsi. Od czasu do czasu podnosiła ciemną twarz ku skwarowi czerwonego południa, a następnie ręką wykonywała koło policzków okrągły ruch, jakby dla odżegnania upału. Zastanowiła go intensywność zamyślenia na tej pięknej kobiecej twarzy, znaczonej poprzecznie trzema ostrymi liniami. Dwie — czarne — odmykały czoło wysokie i proste, trzecia — czerwona, wypukła i odgięta gasiła surowość rysunku kości policzkowych, uwydatnionych połyskliwą skórą.

Reinhard puścił ją naprzód. Zauważył niezmiernie szczuple biodra i długie nogi, poruszające się z wysiłkiem. Za wysoka i za chuda była — stanowczo! Stwierdzając to z całym przekonaniem i jadąc za nią pomalutku, Reinhard, wieloletni więzień Dachau i Buchenwaldu, doświadczył pierwszego pragnienia w tym nowym świecie — usłyszeć głos tej milczącej dziewczyny.

Trzykrotnie objeżdżał ją dookoła, nim dostrzegł na prawym ręku tatuż cyfrowy: 807. Że nie była jego rodaczką, przekonał się od razu, gdy na jego pytanie skąd i dokąd jedzie, odpowiedziała „verstehe nicht“ — cudzoziemskim akcentem. Musiała jednak dobrze znać cel swej wędrowki, bo w pewnym momencie zdecydowanie skręciła na lewo i poczęła wspinąć się pod kościelną górę.

Cicho tu było i pusto. Między gałęziami lip tylko sennie kręciły się pszczoły, pljane ciężką słodyczą kwiatów i słońca. Wśród jednostajnej zieloności wykwiwały zgnęta krzaki kolorowych magnolii i niskim szpalerem dopowadzały do szarej furtki zakrystii, i tu właśnie, w tym szpalerze magnoliowym dziewczyna ukłękła na środku drogi. Oparła rower o drzewo i osunęła się na kolana. Przed nią nie było nic, prócz krzaka magnolii. Reinhardowi wydało się, że dziewczynie zabrakło sił. Gdy głowa jej schowała się na kilka sekund w kwiatkach, odczuł te sekundy jako stratę niecierpliwości i bolesną. Gdy się następnie podniosła, Reinhard uświadomił sobie dotkliwie, że nie rozumie jej gestów, że nie zna przyczyny jej łez, że jej czerwona sukienka bynajmniej nie chroni od uroku.

Nie bez niepokoju przyjął odkrycie, że dziewczyna jest Polką z obozu koncentracyjnego, oczekującą na transport do kraju. Podejrzał to już, gdy skręcała w stronę kościoła. Teraz, gdy jej barwna sukienka słała się po kartoflisku, przylegającym do gmachu szkoły, miał pewność, że tak jest. Popatrzył jeszcze za nią, jak wiatr zatańczył w drzewach z czerwona spódnica i jak ręce dziewczyny wykonały znów okrągły ruch wokół ciemnych policzków. Wtedy odszedł.

Reinhard miał 35 lat, w czym były tylko dwadzieścia cztery lata wolności, resztę zabrała mu hitlerowskie więzienie. Zatarły się w nim prawie wspomnienia młodzieńczych dni. Jeśli chodzi o dzieciństwo, było ono tak niepodobne do tego co przyszło później!... Obraz rodziców wystraszonych i zaklinających go, aby ich lekkomyślnie nie narażał na stratę życia i mienia wyplwiał w nim. Uczucie żalu, że strach ojca i matki uczyniły go niepewnym w obliczu walki, dogasło stopniowo. Ostatnie, co zapamiętał ze świata i co mu się potem odnawiało w snach, nie wiadomo dlaczego, to but policjanta w chwili aresztowania, but wyglansowany tak, że odbijał miniaturę drzewa, pod którym stali. To drzewo połyskliwe i czarne zamknęło Reinhardowi świat.

A potem za dużo już było głodu, bólu i strachu, aby przeżywać coś innego poza głodem, bólem i strachem. Z roku na rok Reinhard coraz mniej pamiętał kto, kiedy i za co go bił, jak i kiedy i za co on sam walczył. I gdy w 1945 roku z grupy opuszczonej Buchenwald Polaków, ktoś go zapytał, czy rozpocznie robotę na nowo, przeciągnął swoje powielokrotnie łamane nogi i przecząco wstrząsnął głową, do której gestapowcy obozowi nie jeden raz celowali.

Kto może zresztą wiedzieć, co robił Reinhard przed jedenastu laty, skoro nie pamiętał tego Reinhard sam? Czasami, przebiegając we wspomnieniach, wyszukiwał w nich bliskie twarze, ale wszystkie one jawiły mu się splecione z opowieściami polskich aresztantów: miały zalepione gipsem usta, papierową torbę na głowie i martwo stygły pod opuszczonymi murami. Jedna tylko twarz Hildy nie zatraciła rumieńców. Jasnowłosa, biała i namiętka pojawiała się w scenarii Nibelungów, mściwa i żąrtana. Sjadła obok Reinharda nad podłeśnym rybnikiem i w „arzędzie czarna i spleciona wtykała mu płonącą żagiew. Kiedy krzyczała, aby wstał, aby przestał patrzeć na wodę, aby z nią szedł, głos jej syczał w uszach jak przypiekana skóra.

Tak, to była ta sama Hilda, którą przed piętnastu laty nauczył słów pogardy i miłości. Ta sama Hilda, której pióro obok pióra Reinharda budziło w junkrach odruch niepokoju, poczucie niebezpieczeństwa. Te same pióra galwanizowały ulegających towarzyszy, zbierały rozproszonych i organizowały ich na nowo. To była ta sama Hilda, która w 33-im ratowała z Reinhardem maszynę drukarską i pomagała w urzędowaniu życia podziemnego. Od niej jednej w 35-ym roku otrzymał w więzieniu berlińskim znak: „Bądź spokojny, pismo pracuje dalej“. Znak ten przyniósł ostatni już aresztowany towarzysz z grupy Reinharda i Hildy. To była ta sama Hilda, w której najdłużej palił się ogień, zajęty od Reinharda. Tak, to była ta sama Hilda, ale wspominający Reinhard miał już dla niej teraz tylko słowa: — Ciszej, nie mąć ciszy.

Pierwszym uczuciem, którego Reinhard doświadczył przy zetknięciu się ze światem wolności, gdy opuścił Buchenwald w maju 1945 roku — była nuda. Lata Dachau i Buchenwaldu nie pozostały w jego pamięci straszne, lecz monotonne. Kiedy myślał na przykład o scenie z butelkami, skręcał się z nudy. Nie mógł pojąć, jak gestapowcom mogło się chcieć ustawiać Niemców pod ścianą i co sobota rozbić im głowy butelkami po piwie.

Zmęczony drogą zatrzymał się w zagrodzie średniozamożnego chłopca, Lescha, u którego już pozostał jako parobek. Wieczory spędzał w obozie przejściowym Polaków w szkole obok góry kościelnej, zasuchany w nieznana mowę. Czasem rozpoznawał go ktoś z buchenwaldzkiej więźniów Polaków, wtedy mężczyźni ścisali się za ręce lub klepali po ramionach, po czym Reinhard siadał na progu sypialni obozowej i kilka godzin płakał. Nikt go nie pocieszał i nikt mu nie przeszkadzał. Przyzwyczajono się do jego obyczajów.

Tu, oświeceniaki przed powrotem do kraju szyły sobie sukienki z zaston podejrzanych z jabłoni szkolnych i z hitlerowskich sztandarów. Stroily pokoje, siebie i swoje włosy w kwiaty. Śmiały się do szklanki mleka, do niezdarne szczeciaka, z krzykiem i śpiewem uganiały się po sadzie chwytając w dłonie płatki opadających z jabłoni kwiatów. Księżycową nocą składały głowy na ramiona amerykańskich żołnierzy i wymieniały druciane pierścionki. Niekim odprowadzali odjeżdżających do szosy.

Kilka razy w tygodniu Reinhard przepadał na całą noc. Lesch nie pytał go nigdy o kierunek i cel tych wypraw. Czwarta rano zastawała Reinharda niezmiennie wylądowującego furę koniczyną dla bydła, a o to jedynie Leschow chodziło. O tej porze i od tego winien się był rozpoczynać dzień Reinharda, co robił z nocą — jego sprawa. Śmiano się dobrodusnie i wesoło komentowano nieobecność nocną Reinharda: „Rozszumiał się po męsku“ — mówiono. Przy tych słowach żółtawoślna Elza, dółka, ocierała się miękko biodrem o Reinharda dolewając mu zupy na talerz. Ale twarz Reinharda nie zdradzała nic z jego przeżyć nocnych. Komentarze zbywał bez uśmiechu, niedbałym machnięciem ręki.

Nikt tak jak Reinhard nie znał nocy od jej buro-srebrnych świateł, poprzez czerń głęboką i pustą jak oczy zmarłego, po przez smugi mlecznych cieni na wschodzie do niskich mgieł, wytaczających się kłębam i z głębi ziemi i układających się w warstwy poprzecznych jak zwoje dziecięcych piełuch rozwieszonych nad łakami.

Czarne, splekane do kości prawie, palce Reinharda igrały na wilgotnej trawie, podczas gdy oczy nie zamykały się ani na chwilę, podobnie jak oko podłeśnego rybnika.

Nad głową coraz niżej zwieszało się czerniejące niebo, dokolny świat zacieśniał się do kilku kroków, woda pozostawała tylko zawsze widzialna. Powierzchnia jej leżała w miejscu, ciemna, cicha i gładka, lub lekko ruchliwa i w zmarszczkach. Tusty karp wyprysnął czasem ościstym grzbietem, w krótkim podrzucie przekazywał Reinhardowi wypukłe wejście, wejście ryby, wody i księżycy, po czym klaskał donośnie spadając na płask teatralnym gestem. Woda nad nim zawierała się wtórując drobnymi oklaskami. Chwilę jeszcze podnosiła bezdźwięcznie malejące leje i obojętniała.

To właśnie tutaj i całkiem samotnie spędzał były więzień buchenwaldzki swe pierwsze wolne noce.

— Za piękna jest ta twoja polska dziewczyna — mówi stara Gertrud, podając Reinhardowi siano na wóz.

Przez sucho trzeszczące pasma trawy Reinhard patrzy na Gertrud. Dwie zmarszczki między wypłowiałymi oczami

koloru mgły nachodzą prawie na siebie w zamyśleniu i trosce. Myśli nie biorą udziału w sprawnym ruchach rąk, rytmicznie podnoszących się w górę i opadających ku kopie rozburzonej u jej nóg.

— Od kiedy to, Gertrud, jesteś ze mną w wojnie? — pyta Reinhard i udeptuje siano stopami, a następnie ubija je mocno kalanem.

— W wojnie? Co ty gadasz, Reinhard? — zaprzecza Gertrud gorąco. Podrzuca przy tym głowę tak, że zdźbła siana, wplątane w roztrągane kosmyki, tańczą.

— Ja z tobą nie wojuję. Masz w sobie coś, że choć niemownyś ze mną, lubię z tobą w polu robić jak z nikim. Mój chłopak, gdyby był przeżył wojnę, miałby twoje lata, Reinhard. I gdyby zapytał mnie o zdanie, powiedziałabym mu: Zeń się, synu, z Elzą. Najlepiej jest mieć w chałupie żonę podobną do innych kobiet i taką, którą zawsze łatwo zmienić, gdy umrze lub zdradzi.

Oczy Reinharda biegną w stronę góry kościelnej i szkoły. Co może robić teraz Anna? Maluje? Myśli? A może leży z dziewczętami pod jabłonią i ciemną twarz podnosi do skwarne nieba? Twarz, przeciętą uroczymi liniami, z których ta trzecia — usta — ma smak i zapach leśnych jeżyn.

Anna nie wie, że Reinhard przyjechał, oparł rower o drzewo i słucha tego, co ona opowiada dziewczętom, które półleżąc gryzą żdźbła trawy lub przechadzają się wolniutko po grzędach truskawek. Zapatrzone w dół nie oddalają się zbytnio od Anny, krążą w promieniu osiągalności jej głosu.

Głos jest jedną z tajemnych piękności Anny, niski, co się rzadko zdarza u kobiet, wibruje altowym dźwiękiem dojrzałości i urody. Reinhard nie rozumie ani słowa z tego, co mówi Anna, podziwia jednak jak łatwo i harmonijnie płynie ta dziwna mowa, u innych Polek najeżona dźwiękami tak ostrymi, że Reinhard nie może słuchać.

Oczy Anny uśmiechają się do zielonej, tłustej gąsienicy, wyrzucającej komicznie bruch w górę i w ten niezwykły sposób wędrującej po białych spodenkach dziewczyny. Anna podstawią jej długą trawę pod podskakujący brzuch, gąsienica wchodzi na nią jak na trawę.

Reinhard teraz dopiero spostrzega, że wszystkie dziewczęta postroiły się w jednokawowe kostiumy, składane z dwu części: majteczek wełnianych i fantazyjnego biustonosza, suto namarszczonego między pierśmi.

Już zdążyły zrobić użytek z białych wełnianych pasów brzusznym, przesnaczone w swoim czasie dla wojsk SS i SD na mroźny front wschodni. Trzy dni temu Reinhard usypał z nich białą górę na środku sali sypialnej, na pokaz zresztą tylko, przekonany o bezużyteczności przyniesionych przedmiotów.

Leżące dziewczęta, ubrane zupełnie jednakowo, robią wrażenie odpoczywających tancerek, lawirujące zaś ostrożnie między krzakami truskawek, zdają się wykonywać leniwie taneczne pas, nisko pochylając głowy. Tęm tego obrazu jest przekwitający sad i głos Anny, niosący się po trawie.

— O czym mówisz Anna? — pyta Reinhard najbliższej siedzącej Heleny.

— O powrocie do domu.

— Dlaczego? — niepokoju się Reinhard.

— Dlaczego ona o tym mówi?

— Bo oświeceniaki odjeżdżają jutro na rowerach. Ja i Maria znamy Annę dobrze z wspólnej pracy, reszta to koleżanki z obozu. Przy robocie podziemnej nie uwajniło nazwisk, posługiwano się pseudonimami, jedna tylko Anna zna nazwiska przywódców ruchu polskiego oporu lub się ich trafnie domyśla. Kieruje więc nas teraz na dawne placówki, żebyśmy nie błądziły i nie marnowały darmo czasu na poszukiwania.

Rozstajemy się na jakiś czas z Anną, potrzebna nam ta rozmowa.

Żałuj, że nie rozumiesz jej słów! Ona umie mówić i umie myśleć o przyszłości!

Gertrud zcichła i wsparta na widłach zdaje się podrzemywać.

— Halo, Gertrud, odpoczęłaś? To podawaj, babo, chłopu siano!

Ciężki kłęb spada Reinhardowi zniacka na pierś i podrywa nogi z dna wozu, nie przygotowane na tak szybki i mocny rzut.

— Chciałabym ci tak kiedyś Elżę podać. Ona czeka.

W pełni lata Reinhard zmieniał popielaty, piśniowy kapelusz na zielony, zrzucał lina- ne ubranie, a zakładał czarną marynarkę i szare spodnie, by wieczorem nareszcie stanąć przed Anną we fraku.

— Wyrzuć już raz te sandały, Anno! Nie

podobają ci się wiśniowe pantofle? Przy- niosę ci inne, mów tylko, czego chcesz! Włóż co masz najładniejszego i chodź na piwo!

Gdy Anna ubierała się, stała przed lustrem i manipulowała piśniowym kapeluszem, bystro obserwując swoją twarz.

Następnie sadzał dziewczynę przed sobą na ramie roweru i woził przez całą wieś, chętnie zbierając komplementy i hołdy dla urody Anny i głęboki podziw dla swego szczęścia.

— Czym ty się zajmujesz, Anno? Rzuć to malowanie! Martwa natura ci nie ucieknie! Wiesz, co ci chcę rzec, moja miła? Że w tych dniach zmienimy strefę okupacyjną: Amerykanie ustępują nam Rosjanom. — Och, jak to dobrze! Coś się tu może wreszcie ustali.

Rein! — ręce Anny odrywają się nagłym gestem od parapetu okna i z całych sił oplatają szyję Reinharda. — Czy mogę pomarzyć o szczęściu?

Co to mi niesiesz, Reinhardzie?

— Masz tu, Anno, radio. Przyniosłem ci je z Klubu Antyfaszystowskiego. Tam już nas znają. Dali mi dla ciebie, abyś mogła, skoro tak bardzo chcesz, nakręcić sobie Warszawę.

— Dlaczego takie grubo opakowane?

— Takie mi dali. Bier! Po obiedzie przyśle ci radiomontera. On ci to wszystko urządzi.

Nad wieczorem nie ustaje pod oknem Anny gwizdanie. To Reinhard przybiega co chwila, wsadza dwa palce w usta i wzywa Annę po łobuzersku, aby wyrzwała.

— Radio gotowe? Słuchasz? Dobrze? Przyjdź wieczorem.

— Mam dla ciebie samochód. Samochód marki Opel Olympia, z Klubu.

— A cóż ja będę robiła z tym samochodem, Reinhardzie?

— Jak to, co? Będiesz ze swoim mężem jeździła. Nie masz ochoty pojechać dziś wieczorem do kina ze mną?

— Oczywiście, że mam ochotę. Ale czy nam do tego potrzebne jest auto?

— No, a jeżeli zechcesz do domu jechać?

— To pojedź razem ze wszystkimi, transportem przecież. Ale tobie rzeczywiście się to auto może kiedyś przydać. Dziękuję, kochanie!

— Gdzieś to dziś spacerowała, Anno? Widzieli cię ludzie z komendantem okręgu i burmistrzem. Jeden major sowiecki, drugi pułkownik, tak?

— Tak, Reinhardzie. Zaproponowali mi stanowisko tłumaczki, dopóki tu zostanie. Nie mam pojęcia, jak mi to pójdzie, sam wiesz najlepiej, jak ja kiepsko mówię po niemiecku. Idzie im o rodzaj pośredniczenia między władzami okupacyjnymi a ludnością miejscową. Ja tu dobrze znam ludzi, pomoże mi to bardzo odróżnić kogo należy ochraniać, a w stosunku do kogo postawić sprawy ostro.

— Nabierasz znaczenia, Anno w tym kraju, który cię przez dwa lata więził. Może i ja się przy tobie wybije? Pomożesz mi?

— Mówisz jak dziecko, które się lubi drażnić. Uważasz, że mało masz zasług własnych? Chcesz się może licytować ze mną? Ale ja nie chcę!

— Co myślisz, Reinhardzie, o stanowisku burmistrza?

— Dla kogo?

— Dla ciebie.

— Myślę, że jeżeli na tym stanowisku będę cię mógł całować ile zechcę i nakazać ci pełnomocnie pozostanie na zawsze ze sobą — to przyjmuję je natychmiast.

— Nie żartuj! To stanowisko musi być właściwie obsadzone. Jest ono przecież wyjątkowo odpowiedzialne.

— Wiem. Nie żartuję. Już ze mną mówiono w komendanturze okręgu o tym jak równie o redagowaniu gazety.

Palce Anny drżą na ręku Reinharda, oczy są pełne łez.

Reinhard tuli do piersi łomocące serce Anny i patrzy z zachwytem, jak czerwona linia jej ust wyukleje i wygina się.

Słowa potykają się wciąż o wielkie wzruszenie. Trudno jest mówić.

— Reinhardzie! Przecież to jest nareszcie to, czego musisz najbardziej pragnąć. Przecież to jest nareszcie to! Mów, co było dalej?

— Musiałem zuchnie bez potrzeby kilka godzin opowiadać swoje curriculum vitae po to, aby się przekonać, że je świetnie znali i bez mojego gadania.

Minłem m.żność dziś przeczytać nawet swój własny artykuł sprzed dwunastu lat, bo i jeden numer mego pisma wydobyl ja-



kimś cudem z buchenwaldzkich aktów. Niedługo stanął on dowód rzeczowy przeciwko mnie, dziś przemawiał za mną. Pomyśl, Anno, jedne i te same słowa!

Reinhard milczy chwilę i kończy wodząc wargami po Anny włosach, tak, jakby chciał złagodzić głos i sens tego głosu.

— Powiniemem, Anno, zostać burmistrzem i powiniemem może pisać dalej, ale nie potrafię, naprawdę nie potrafię! Mogłem się o tym przekonać, kiedy autor mego artykułu wydał mi się obcym człowiekiem. I gdybyż to była tylko różnica młodości i dojrzałości, ale to nie jest ta różnica, to jest różnica życia i śmierci, porywu i kłeski.

Zmrok wieczorny daje Annie tylko te słowa, odbiera natomiast wyraz twarzy Reinharda.

— Dokąd idziesz, Reinhardzie?

— Posiedzę nad rybnikiem trochę. Dobranoc!

— Niekiedy nawet ten i ów się zapędzi i nazywa Annę panią burmistrzową. Anna śmieje się, ale nie poprawia.

— Co to się dziś dzieje z Reinhardem, że go weale nigdzie nie widać — zagubuje Anna Leschową.

— Nie wiem! Rano powiedział mi tylko, że będzie miał dużo pracy, bo dziś we wsi rekwizycja koni.

— Co wy mówicie? Rekwizycja koni i mnie nie zawiadomiono o tym? Jakże tam sobie dają radę bez tłumacza, nikt tu przecież po rosyjsku nie rozumie.

— Widziałam rano, jak objeżdżali gospodarstwa przy szosie. Było trzech wojskowych sowieckich, Reinhard i nauczycielka z Harsmandorfu, ona trochę zna rosyjski.

— Nic nie rozumiem. Jak Reinhard wróci, powiedzcie mu, że czekam na niego.

— Nie wiem, czy go dziś zobaczę jeszcze, bo rano zabrano jego rzeczy do Bertholdowej, u której ma mieszkać. Ale jemu przecież nie trzeba przypominać, on do pani leci, nie chodzi.

— Mutti Lesch, czy wy mówicie, aby przytomnie? Do jakiej Bertholdowej przeprowadził się Reinhard?

— Do tej starej wdowy, co mieszka w samym środku wsi. Ona ma piękne, duże mieszkanie, wielki ogród, tam i Reinhardowi i pani będzie wygodniej. I burmistrzowi bardziej pasuje tam mieszkać, niż tu u nas w takim marym lichym kramie.

W głosie Mutti Lesch czai się coś nieśczęznego, tak jakby mówiła pod wpływem strachu, czegoś nie dopowiadała.

Anna jeszcze chwilę stoi. Wreszcie ociągając się, odchodzi.

— Dowidzenia, Mutti!

— Jeszcze minutka. Mam do pani prośbę, Anno. Idzie o to radio. Reinhard je zabral mojej siostrze. Za co? Przecież to biedna kobieta. Jej mąż padł na wojnie nie dosłużywszy się najmniejszego nawet stopnia. Nie starał się, nie był Nazi. Pani jest sprawiedliwa, niech pani odda jej to radio odjeżdżając do Polski.

— Nie miałam o tym wszystkim pojęcia. Byłam pewna, że radio jest z Klubu. Niech wasza siostra przyjdzie jeszcze dziś wieczorem do mnie. Dowidzenia Mutti. Za wieleście dla mnie dobrego zrobili, abym was chciała krzywdzić.

Ziemia wciąż jeszcze leży pod nogami Anny, nie rozstąpiła się. Co na miłość boską znaczy ta historia z radiem i te przenosiny do Bertholdowej, której mąż, kapitan wojsk SS i syn porucznik wojsk SS kryją się gdzieś w świecie w obawie sądu. I gdzie się podziewa Reinhard? Trzeba go natychmiast odnaleźć.

Do Bertholdowej tylko parę kroków. Pod górą najpiękniejszy we wsi dom i najpiękniejszy we wsi sad. Od samego Hitlera, w uznaniu zasług. Przed domem samochód, brama szeroko otwarta.

Anna zatrzymuje się w bramie. Na podwórzu czystym, rozległym stoi grupa ludzi, zajętych rozmową. Nauczycielka, obok niej uśmiechnięta Bertholdowa słucha co mówi Reinhard i przytakuje ruchem głowy. Słów Reinharda słuchają też trzej sowieccy oficerowie. Jeden z nich to znany dobrze Annie komendant okręgu.

Reinhard stoi i mówi najwyraźniej.

— Bertholdowa? To bardzo porządna kobieta. Straciła męża i syna na wojnie. Ich udział w wojnie to nie grzech tej oto żony i matki, ale konsekwencja przemocy hitlerowskiego systemu rządzenia. Bertholdowa ma dwa konie, niezbędne do obróbki gospodarstwa. Nie zabierajcie jej ich. Rekwizycji w pierwszym rzędzie podlega inwentarz nacjonalistów niemieckich, a Bertholdowa nie ma z nimi nic wspólnego.

— Wobec tego co mówi burmistrz, jedyny wniosek, że udzielono nam fałszywych informacji — mówi jeden z oficerów. Mówiono nam właśnie o Bertholdowej jako pierwszej wśród gospodarzy, obciążonych zarzutami entuzjastycznej współpracy z Hitlerem.

— Nikt lepiej ode mnie nie wiedziałby o tym, jestem przecież burmistrzem — mówi Reinhard i w tym momencie zawadza wzrokiem o bramę i o Annę.

— Co tu robisz, Anno? — woła głośno.

— Pani Anna? Komendant idzie do niej z wyciągniętą ręką.

— Bardzo nam pani dziś brakowało, ale ponieważ burmistrz powiedział nam, że się pani źle czuje, nie chcieliśmy jej niepokoić.

— Tak — mówi Anna z wysiłkiem — miałam rano ciężki ból głowy. Tu Reinhard miał rację. Ale w sprawie Bertholdowej myli się, komendancie. Proszę tę sprawę dobrze rozpatrzyć. Informacje, które otrzymałem o Bertholdowej w urzędzie są ściśle. Należy jej nie tylko zabrać konie, ale z czasem zarekwirować majątek. Służba jej męża i syna w wojsku SS jest faktem pewnym. Majątek ten — Anna wykonywała szeroki gest — jest wynagrodzeniem za tę służbę.

— Jak pan się mógł tak pomylić, burmistrzu — mówi wzburzony komendant.

Reinhard milczy. Oczy jego są białe jak oczy ślepeca.

— Reinhard — odpowiada bardzo wolno Anna — dopiero trzy miesiące temu przyszedł tu z Buchenwaldu. Nie zna jeszcze

## TEOFIL WOJEŃSKI

# Geneza poglądu na świat naszej inteligencji

### ZWYRODNIŁY NEOROMANTYZM

W ostatnich czasach Kuźnica dużo miejsca poświęciła zagadnieniu genealogii naszej inteligencji. W związku z świetną pracą pod tym tytułem prof. Chałasińskiego główną płaszczyzną poszukiwań źródła postawy wobec życia naszej inteligencji stały się też dociekania na temat klasowego pochodzenia tej grupy społecznej w Polsce.

Doceniając całkowicie wagę tych dociekań. Gotów jestem również zgodzić się, że od nich należało istotnie rozpocząć. Uświadomienie sobie bowiem klasowego pochodzenia naszej inteligencji pozwala nam dopiero zrozumieć, dlaczego inteligencja polska — w większym stopniu niż inteligencja innych narodów — ulega wpływom tych, a nie innych prądów umysłowych. Nie sądzę jednak, aby dociekania na temat klasowego pochodzenia naszej inteligencji mogły w pełni wyjaśnić charakterystyczną postawę inteligencji polskiej. Dla dobrego zrozumienia tej postawy jest rzeczą konieczną poddać krytycznej ocenie także prądy umysłowe, które kształtowały poglądy na świat tej grupy społecznej.

Zabieg powyższy jest pożyteczny jeszcze i z innych zasadniczych względów — umożliwi dotarcie do postaw światopoglądowych prądów politycznych, które naraziły ludzką na niedawno przeżyty wstrząs, wywołały renesans średniowiecznego barbarzyństwa, spowodowały ogromnisze zniszczenia, katastrofalnych strat materialnych i moralnych. Odgrażyć zatem może kapitalną rolę w walce, którą świat pracy wypowiedział faszystom. Mamy przecież pełną świadomość, że z wygraną na polach bitew orężnych walka z faszystem nie została zakończona. Walka trwa. I jeżeli zwycięstwo ma być pełne, jeżeli mamy być zabezpieczeni przed odrodzeniem się faszystów, muszą być oddani pod sąd nie tylko przestępcy wojenni i nie tylko politycy, ale i programy polityczne przez nich reprezentowane — muszą być poddane surowej, krytycznej ocenie prądy i kierunki umysłowe, które kształtowały pogląd na świat środowiska, z którego wyszli ci przestępcy.

Omówienie podstaw, światopoglądowych faszystów napotyka na poważne przeszkody. Rewolucji faszystowskiej zarówno we Włoszech jak i Niemczech nie poprzedził żaden nowy poważny ruch umysłowy. Ani przed, ani w czasie trwania nie towarzyszył tej rewolucji żaden przewrót umysłowy. Teoretyczne uzasadnienie tego ruchu zawarte w pismach publicystów faszystowskich i nazistowskich są w istocie rzeczy konglomeratem, na który składają się strzępy poglądów myślicieli końca XIX wieku wyzyskane dla przeciwstawienia się twórcemu wysiłkowi rozumowego opanowania stosunków międzyludzkich i dla uzasadnienia prawa gwałtu człowieka nad człowiekiem. W poszukiwaniu właściwszego określenia poglądu na świat, na którym oparł się faszystom, najbliżsi bodaj będziemy prawdy, stosując termin — wyrodniły neoromantyzm. Podkreślam z naciskiem — wyrodniły — nie mam bowiem zamiaru obciążać odpowiedzialnością za faszystów ani neoromantyzmu w jego właściwej postaci, ani myślicieli tego okresu.

Nie obciążając neoromantyzmu odpowiedzialnością za faszystów — należy jednak przyjrzeć mu się bliżej, a zwłaszcza tym jego elementom, na których oparł się faszystowski pogląd na świat.

dość dobrze ludzi. Pomylił się — kończy słabym głosem.

— Wobec tego rozejrzmy się w tej sprawie jeszcze raz i przyjdźmy tu jutro ponownie. Tymczasem zabieramy konie. Jak to dobrze, że pani się zjawia, Anno. Zawsze jestem zdania, że pani świetnie pracuje. Dobranoc Burmistrzu, dobranoc Anno. Niech się pani natychmiast położy, wygląda pani bardzo mizernie.

Samochód zawarkotał i ruszył. Bertholdowa próbuje uśmiechać się do Anny, widząc jednak jej drętwą twarz miesza się i odchodzi. Słyszy jeszcze tylko, jak Reinhard mamrocze bezzębnie jakoś jak starzec:

— Ich bin Lump. Ich bin der alte Lump.

Anna odchodzi przez podwórze z rękami wyciągniętymi przed siebie niewidomie. Porusza się sztywno jak kukła.

Reinhard biegnie do swego pokoju, by z okna popatrzeć jeszcze za Anną.

Anna idzie ścieżką w stronę kościoła. Czerwona jej spódniczka ślania się po łętach kartofliska. Ale Anna nie nachyla się

i nie bierze w objęcia zabiegającego jej drogę szczeniaka, nie kłeka przed magnoliowym krzakiem, choć twarz jej tak samo jak wtedy, gdy ją Reinhard widział pierwszy raz, zalana jest łzami. Reinhard nie spuszcza z niej wzroku. Wie przecież, że to ostatni raz Anna tak idzie z wyciągniętymi przed siebie rękami poruszając się śmiejąc. Jeszcze tylko wiatr chwilę potańczy w drzewach szkoły z jej barwną spódniczką. A potem już nie.

— Reinhard! Essen! — woła z dołu Bertholdowa i cieszy się, że ma świeży blutwurst na kolację. Nic tak mężczyzny nie rozchmurza, jak dobre jedzenie.

— Odeślecie mój kosz z powrotem do Leschów. Jeszcze dziś wieczorem, Bertholdowo!

— — — — —  
Szeroko leży wyglądzony rybnik. Reinhard odróżnia na powierzchni wody swój zgięty cień.

Dookoła wszystko śpi.

Hilda milczy, Anny nie ma. Nic nie ma ci ciszy.  
Wanda Żółkiewska

### Dyskusja o inteligencji \*)

gencji europejskiej końca XIX-go wieku dużym uznaniem.

Wpływ niemały na kształtowanie się poglądów inteligencji przy końcu XIX-go wieku wywarł również najbardziej skrajny przedstawiciel indywidualistycznej filozofii niemieckiej — myśliciel Max Stirner (1806 — 1856 — właściwe nazwisko Kaspar Schmidt), zwłaszcza jego dzieło p. t. „Der Einzige und sein Eigentum“ (1845), zawierające filozoficzne uzasadnienie skrajnego egoizmu.

### WPLYW FILOZOFII WSPÓŁCZESNEJ

Do założeń idealistycznej filozofii romantycznej sięgali najbardziej wpływowi myśliciele tego okresu. Jednym z najwybitniejszych i najbardziej sugestywnie oddziaływujących na współczesnych przedstawicieli nowej myśli metafizycznej był niezwykle utalentowany pisarz i myśliciel niemiecki Fryderyk Nietzsche. Nietzsche w zakresie filozofii nie posiadał erudycji, był w tej dziedzinie samoukiem. Mistrzem jego był wspomniany wyżej przedstawiciel niemieckiej filozofii idealistycznej, Schopenhauer. Z romantycznym poglądem na świat wiązał Fryderyk Nietzsche przede wszystkim estetyzm. Kult sztuki przeważa w pierwszym okresie jego twórczości, a więc w takich utworach jak „Narodziny tragedii“, „Rozważania na czasie“, a występuje wyraźnie w całej dalszej twórczości i niewątpliwie zaważył na ostatecznym sformułowaniu koncepcji nadczłowieka. Z romantyzmem również wiąże go widoczny w tej koncepcji krańcowy indywidualizm. Dorobek nauk specjalnych, zwłaszcza przyrodniczych, którym się entuzjastycznie zajmował i dał temu wyraz w drugim okresie swojej twórczości, użytkował Nietzsche w swoisty sposób. Posłużył mu on tylko jako odskocznia do przewartościowania wszystkich wartości, do zaatakowania ideałów i zasad moralnych, stanowiących dorobek kultury ludzkiej, które zarówno u podstaw kultury średniowiecznej jak i humanistycznej. Przenosząc wykryte przez nauki przyrodnicze zasady kształtowania się stosunków w przyrodzie do stosunków międzyludzkich — stanął na stanowisku skrajnie relatywistycznym — stosunku do zagadnień etycznych twierdząc, że wszelka prawda zależna jest od warunków biologicznych, że wszelka ocena jest względna, zależna od typu człowieka, który ją wygłasza. (Istnieje więc jego zdaniem inna racja wilka i inna racja owcy — racja pana i racja niewolnika). Metodą myślenia, stosowaną przez nauki specjalne, posługuje się Nietzsche dla negacji, porzuca natomiast grunt tego myślenia, gdy przechodzi do twierdzeń pozytywnych i przemawia wtedy nie jako uczony, wyjaśniający rzeczywistość, ale jak reformator i prorok nowych wartości moralnych, chcący wprowadzić życie na nową tory. (Takim jest w utworach: „Tako rzecze Zaratustra“, „Po drugiej stronie dobra i zła“, „Genealogia moralności“, „Wola mocy“ i „Oto człowiek“).

Stając na stanowisku irracjonalnej metafizyki woluntarystycznej, interpretuje ją Nietzsche w swoisty sposób. Istotę wszechświata widzi w woli mocy. Przenosząc tę zasadę metafizyczną w płaszczyznę etyki, rzuca Nietzsche rekawie podstawowemu ideałom dotychczasowej kultury, przeciwstawia się ideałom demokracji i podjęmuje gloryfikację — przekształconą przez chrześcijaństwo, — zasady gwałtu człowieka nad człowiekiem, gwałtu silniejszego nad

\*) por. Kuźnica Nr 4, 12, 19, 20, 29, 30, 31.



slabszym. Moralność panująca traktuje jako moralność niewolników, dążących do poniżenia cnoty dawnych władców. Wyrazem tej moralności jest jego zdaniem chrześcijańska etyka litości, współczucia, obrony słabszego przed gwałtem silniejszego — jednym słowem — wszystko to, co składa się na treść humanitaryzmu. Głosi więc Nietzsche renesans moralności panów, słaui pańską dostojność, stanowczość, sprawność działania — potępią wszelką słabość i miękkość serca. Nie dobro i nie cnota stanowi, zdaniem jego, o wartości człowieka, ale dostojność i moc. Należy wychowywać nie człowieka dobrego i moralnego, ale nad-człowieka, odznaczającego się dostojnością i siłą, reprezentującego pełnię i moc życia. Wychowanie winno mieć na celu nie podniesienie powszechnej kultury, ale staranną selekcję, hodowanie geniuszy, nadludzi, wychowanie rasy panów rządzących tłumem. Należy więc zerwać z moralistycznym punktem widzenia, sięgnąć poza granice dobra i zła — więc przewartościowość wszystkie wartości. Paradoksalność tych poglądów, a przede wszystkim siła artystycznego wyrazu w jaki były oprowane, sprawiło, że mimo ich reakcyjności, mimo że były sprzeczne z żywymi tendencjami kształtującymi rzeczywistość polityczną i gospodarczą, wywarły silny wpływ na inteligencję europejską, przyczyniły się w dużym stopniu do pogłębienia przepaści między nią a masowymi ruchami społecznymi i do kulturowania przez nią indywidualistyczno - ary-stokratycznej postawy wobec życia. Pod tym względem odegrała filozofia Nietzschego niewątpliwie rolę ujemną, destrukcyjną.

Wybitnym przedstawicielem metafizycznego myślenia w filozofii końca XIX-go wieku jest filozof Henri Bergson (1852 — 1943). Swoje poglądy metafizyczne wprowadza Bergson z krytyki rozumowego poznania. Twierdzi mianowicie, że rozum zarówno w nauce jak i potocznej postaci służy celom praktycznym i do tych celów praktycznych nagina (fałszuje) poznanie. Rzeczywistość poznawana daleka jest od schematycznego rozumowania, rozum ją tylko upraszcza, schematyzuje. W istocie rzeczy rzeczywistość jest nieskończenie różnorodna i zmienna. Stałe składniki rzeczywistości, z którymi mamy do czynienia w rozumowym poznaniu, są fikcjami naszego umysłu posiadającego zdolność atomizowania i schematyzowania wszystkiego co poznaje. Obecą jest też rzeczywistość mechaniczność przypisywana jej przez rozum, a będąca tylko właściwością umysłu w ujmowaniu rzeczywistości. Rzeczywistość cechuje ustrój organiczny, przeniknięty irracjonalnym pędem życiowym. Poznać tę rzeczywistość istotną możemy nie na drodze rozumowego poznania, bo to będzie zawsze sfalszowane, ale na drodze intuicji, przez którą umysł wchodzi w bezpośredni kontakt z rzeczywistością. Świadomość nie wyczerpuje naszego życia wewnętrznego, obejmuje ona tylko stany nie zespolone z całą jaźnią np. wywołane przez sugestię lub narzucone przez wychowanie. Są to tylko zewnętrzne pokłady naszej świadomości, pod tą powierzchnią kryje się jaźń nasza, jej wyrazem jest intuicja. Bergson przeciwstawia się pojmowaniu ewolucji jako mechanicznego procesu. Życie i jego wytwór: instynkt i intuicję przeciwstawia Bergson jako przejawy ewolucji twórczej rozumowi, który jest jego zdaniem wytworem mechanizacji.

Duży wpływ na literaturę piękna XX-go wieku, zwłaszcza na powieści psychologizną, wywarł uczony niemiecki, lekarz i profesor uniwersytetu wiedeńskiego, Zygmunta Freud swoją teorią psychoanalizy.

Na ujmowanie zaś zjawisk życia zbiorowego — gospodarczego i politycznego — największy wpływ w kształtowaniu się światopoglądu neoromantycznego wywarli teoretycy syndykalizmu G. Sorel i wybitny polski socjolog L. Gumplowicz. Z poglądów Sorela najbardziej odpowiadało neoromantyzmowi podnoszenie roli i znaczenia w ruchach społecznych czynników irracjonalnych (mitów) i przypisywanie im większego znaczenia w kształtowaniu się stosunków międzyludzkich niż świadomym ideom.

Odpowiadał neoromantyzmowi również pogląd, że stosunki te kształtuje gwałt, dokonywany przez zorganizowaną rewolucyjną mniejszość nad niezorganizowaną i pozbawioną świadomości większością.

Odpowiadały również inteligencji okresu neoromantyzmu poglądy Pareto Wolfrędo uzasadniające podstawy filozoficzno - społeczne elitaryzmu i stwierdzające, że w każdym społeczeństwie rządzi i musi rządzić elita.

Wymieniając powyżej szereg myślicieli, na których oparła swój pogląd na świat intelektualistów, nie mogę nie wspomnieć, że jeszcze raz powtarzam: nie mam zamiaru

obciążać tych myślicieli odpowiedzialnością za wypaczenie strzępów ich poglądów przez faszystów i narodowy socjalizm niemiecki. Jak miałem sposobność stwierdzić to na innym miejscu (Lewy Tor, październik 1945 r.) z doceniania drżących w duszy ludzkiej potężnych, irracjonalnych, ślepych sił instynktów nie wynika wcale, że należy te siły wyzwalać i podporządkowywać im rozwój stosunków międzyludzkich. Wręcz przeciwnie — świadomość istnienia tych sił wkłada tym większy obowiązek krytycznego ustosunkowania się do pobudek działania, płynących z irracjonalnych źródeł. Ale neoromantyzm z jego szacunkiem dla potęgi irracjonalizmu, z jego uwielbieniem dla silnych namiętności, z jego sceptycyzmem i brakiem zaufania do racjonalizmu i empiryzmu, stwarzał klimat sprzyjający rozwojowi ruchów politycznych, które z wyzwolenia ślepych instynktów tłumy czerpały swoją siłę i możliwość pochwylenia władzy.

Zwrócono już słuszną uwagę na znamienny fakt, że wielu z twórców neoromantyzmu, którzy dożyli chwili tworzenia się faszystowskich koncepcji, znalazło się w ich szeregach (D'Annunzio, Hamsun, Hauptman, z młodszych Fallada).

Neoromantyzm przyjmując od romantyzmu skłonność do podporządkowywania prawd rozumowych prawdom uczuciowym, skłonność do przewagi reakcji uczuciowej w postępowaniu, nie sprzyjał twórczemu wysiłkowi rozumowego opanowania otaczającej rzeczywistości. Zawierał też w sobie możliwość zwyrodnienia, które stało się podstawą faszyzmu.

#### WPLYW NEOROMANTYZMU NA INTELIGENCJĘ POLSKĄ

Wpływ neoromantyzmu na kształtowanie się poglądów inteligencji polskiej na przełomie XIX i XX wieku był olbrzymi. Świadczy o tym chociażby łatwość, z jaką odniósł zwycięstwo nad krótkotrwałym w Polsce pozytywizmem, mimo wagi pozytywizmu i wspaniałych osiągnięć w rozwoju życia narodowego. Jeżeli się zważy, że pozytywizm nasz trwał nie wiele dłużej niż przez jedno dziesięciolecie i jeżeli dokona się bilansu jego osiągnięć w dziedzinie gospodarczej i kulturalnej — trudno dziś zrozumieć surową ocenę, jaką zyskał sobie wśród naszej inteligencji końca XIX i początku XX wieku. Złożyło się na to wiele przyczyn. Wśród nich jedną z najważniejszych była struktura społeczna naszej inteligencji i inna, niż na Zachodzie, przebieg kształtowania się stosunków gospodarczo społecznych. Ten ostatni sprawił, że słabe i pozbawione aspiracji klasowych mieszczaństwo polskie nie zdobyło się na własny pogląd na świat, na własną kulturę i tradycję, a żyło strzępami szlacheckiego widzenia rzeczywistości. Najważniejsza bodaj przyczyna jednak wiązała się z sytuacją polityczną i stosunkiem do niej pozytywizmu.

W stosunku do zagadnień życia politycznego pozytywizm reprezentował wyłącznie postawę negatywną, jego aktywność w tej dziedzinie wyczerpywała się w krytyce romantyzmu. Sam pozytywizm nie próbował stworzyć koncepcji rozwiązania problemów politycznych, koncepcji rozumowego opanowania sytuacji, w której znajdowała się Polska. Zignorowanie dziedziny życia politycznego mogło być tylko chwilowe, związane z nastrojem rozgoryczenia po klęsce powstania 63 r. Dla narodu w niewoli musiało pozostać istotne zagadnienie wybitnie polityczne — odzyskanie niepodległości. Przejście do porządku dziennego nad tym zagadnieniem przez pozytywizm, nie włączenia tego zagadnienia w krąg swoich zainteresowań, czyniło światopogląd pozytywistyczny niepełnym, krótkodystansowym, wywołującym reakcję we wszystkich tych środowiskach, które nie mogły pogodzić się z warunkami niewoli, zwłaszcza zaś w młodym, rwącym się do walki o wolność pokoleniu. W tej reakcji, w tym czynieniu zadość uczuciom narodowym, zwracało się młode pokolenie ku koncepcjom politycznym romantyzmu, pozytywizm bowiem nie pod tym względem mu nie dawał. I tu tkwiła jedna z ważniejszych dzwigni szybkiego i bogatego renesansu romantyzmu w Polsce na przełomie XIX i XX wieku.

Tym też należy sobie tłumaczyć, że wpływ neoromantyzmu na społeczeństwo polskie był daleko większy niż naprz. we Francji czy Anglii i że, poza sztuką, największy wpływ wywarł na polityczne myślenie. Podobnie też jak i w okresie romantyzmu — szkołą myślenia politycznego staje się literatura piękna (Wyspiański, Żeromski i inni). Zacięra się granica między realnym myśleniem politycznym, a rojeniami poetyckimi. Dość przypomnieć sobie rolę, jaką nie tylko w literaturze, ale i w kształtowaniu się orientacji politycznej w okresie neoromantyzmu, odegrał

Wilhelm Feldman i jego „Krytyka“, ażeby nie mieć pod tym względem wątpliwości. Dość przypomnieć sobie, że ten fanatyczny i bezkrytyczny wielbiciel romantyzmu stara się przekonać społeczeństwo polskie, że prąd ten jest właściwym wyrazem „nieśmiertelnego ducha ojczyzny“, wieczystym pędem uczucia i woli przezwy-ciężającej daną rzeczywistość, tworzącej najwspanialsze karty dziejów Polski. (Wstęp do współczesnej literatury polskiej). Za protoplastę romantyzmu uważać także Feldman ni mniej ni więcej tylko Bolesława Chrobrego. Ta swoista definicja romantyzmu pozwala nam widzieć przejawy romantyzmu we wszystkich dodatnich momentach dziejów, natomiast okresy upadku skłonny jest wiązać z zwycię-

stwem w danym okresie realizmu politycznego. A trzeba pamiętać, że pisze tak Feldman, autor nie tylko „Współczesnej literatury polskiej“ i artykułów literackich ale i autor „Dziejów polskiej myśli politycznej“ i wielu artykułów politycznych. Wpływ neoromantyzmu jest tak wielki, że wkracza nawet na obcy sobie teren, zakłóca i męci prądy ideowe, oparte na innych przeciwstawnych założeniach światopoglądowych, doprowadza do powikłań i anomalii w duszy pokolenia, które z jedną pasją czytało Marksa i Nietzschego. O tych momentach genezy poglądu na świat naszej inteligencji należy pamiętać, oceniając jej postawę wobec życia i jej zamowienia wobec dzisiejszej rzeczywistości.

Teofil Wojewski



## NOWY POJAZD?

Z wielkim zainteresowaniem przeczytałem w Nr. 42 „Tygodnika Powszechnego“ artykuł ks. Piwowarczyka p.t. „O stronnictwo dla katolików“. Lubie słuchać kapłanów, gdy mówią o sprawach ziemskich. Ponieważ moje imię powołał do życia rozum epoki oświeceniowej, nigdy nie znajdowałem upodobania w dziedzinach niepoznawalnych. Czasem doznaję niejakię satysfakcji na widok metafizyka, który korzysta ze środków lokomocji wynalezionych przez racjonalistę. Kiedyś za granicą widziano na szosie zabawny wypadek: młody ksiądz jechał na motocyklu. Motocykl się popsuł. Mechanik wezwany do naprawy był komunistą. Przyjmując zapłatę rzekł do księdza: „Jeździć na tym, co myśmy wymyśliłi. Ale, do licha, nauczyć się wreszcie z tym obchodzić. Bo w końcu znudzi się nam naprawiać to, co wy psujecie...“

Dlatego lubie słuchać, jak ksiądz Piwowarczyk mówi o demokracji. Zawsze jestem ciekaw jego postępow w tej dziedzinie. Czy potrafi obchodzić się z wynalazkiem, który wymyślił inni? Mam ambicję fachowca i patrzę, czy dobre narzędzia spełniają prawidłowe funkcje w cudzych, nie zawsze wprawnych rękach.

Nie umiem ukrywać swych myśli, więc powiem szczerze: artykuł księdza sprawił mi wielką radość; bije z niego szlachetny rozśadek, świadczący o porzuceniu hasel absenteizmu i emigracji wewnętrznej w obozie katolickim. Powiem więcej; nie mam przeciw powstaniu stronnictwa, o którym wspomina ksiądz; co nie oznacza, aby pewne sformułowania księdza nie napełniały mnie niepokojem. Bo, proszę księdza, nie jestem pewny, czy formalne racje, które ksiądz przytacza na poparcie swych dezyderatów, istotnie wystarczą do stworzenia polskiej partii katolików. Oczywiście — „u podstaw naszej demokracji leży zasada, iż wyrazem wolności demokratycznej w Polsce jest prawo społeczeństwa do wylaniania z siebie organizacji politycznych“. Ale, kiedy ksiądz pisze, że nie ma wątpliwości, czy katolicy w Polsce „mają wykrystalizowaną ideologię i swój własny program działania“ — szukam koło siebie moich narzędzi. Wolę je mieć pod ręką, gdy trzeba będzie naprawiać motocykl. Bo obawiam się, że startując z tak niepewnych założeń, pojazd katolików polskich szybko stanie w pół drogi.

Wiemy, jak toczył się świątek w ciągu ostatnich stu pięćdziesięciu lat. W okresie tym, proszę księdza, powstawało wiele partij politycznych. I wiele upadło. Niektóre z nich pozostawily w pamięci świata swą myśl. Inne przetrwały tylko w późniejszych kronikach. Formalne racje demokracji pozwoliły powstać jednemu i drugiemu. Ale logiczne prawa rozwoju z jednych uczynily popiół, z drugich płodne ziarno. Te drugie, to były grupy ludzi związanych wspólnym programem urzadzania na ziemi spraw ludzkich. Nie to było ważne, że ludzi tych łączyła nazwa, lub że mogli porozumieć się między sobą co do natury grzechu.



Ludzie ci musieli jednoczyć się, bo wiązał ich potężny nurt przemian, od których zawisł był ich los. Za słowami „wolność“ czy „równość“ widzieli — nie obłok, z którego spłyne łaska — lecz określony system podziału dóbr. Siła tych zreszeń i prawo ich istnienia tkwiły we wspólnym widzeniu związków ludzkich na ziemi. Sprawiedliwość rozumeli jednakowo: widzieli ją w strukturze społeczeństwa, wynikłej z logiki ich założeń. Spełnianie się ich założeń tworzyło postęp. Tak poruszali się po szosie rozwoju.

Chciałbym więc wiedzieć, proszę księdza, jak pragnie partia katolików urzadzic w Polsce sprawy ziemskie? Sądzę, że jej program społeczny musi być wysunięty odrazu i on powinien rozstrzygnąć, czy stronnictwo to ma się urodzić. Bo jeśli wem i pamiętam — program społeczny Kościoła zawierał się dotąd w jednym tylko wskazaniu: „Bogu co boskie, cesarzowi co cesarskie“. Jak będzie odmierzone w programie nowego stronnictwa to, co zostanie po spełnieniu obowiązków bożych? I czy będzie odmierzone w myśl uczciwych założeń księdza Piwowarczyka, który nie pragnie stwarzać z przyszłego stronnictwa monopolu na światopogląd polityczny Polaków wyznania rzymsko - katolickiego, — czy też w myśl założeń odmiennych, założeń wyrażonych w liście pasterskim episkopatu, który ogłoszono w tym samym czasie?

Od półtora wieku katolicyzm nie potrafi dostarczać swym wiernym pojazdów na trakcie postępu. Swe stare podwozy usłuje ulepszać i korzystać przytem ze wszystkich lokomocji współczesności. Ale Kościół w tych sprawach nie zawsze jest dobrym fachowcem i widziałem już nieraz, jak brał kołowrotek za dynamo i przycepił go do swej kołasy, aby szybciej ruszyć z miejsca. Cóż więc przycepi teraz, w epoce bomby atomowej, elektrycznych krzesel i radaru?

Nie sądzę, aby wszyscy katolicy polscy byli jednomyślni w swym widzeniu społecznych urzadzzeń na ziemi. Nie wiem, czy kardynał Hlond zgodny jest w swym stosunku do demokracji ludowej z ks. Michalskim, lub czy katolicy z „Dziś i Jutro“ tak samo ocenają dzieło reformy, jak katolicy z „Tygodnika Warszawskiego“. Bardzo chciałbym wiedzieć, kto wyznaczy zakres i naturę „cesarskiej“ strony w programie przyszłego stronnictwa: kuria biskupia, czy Jerzy Zawieyski?

Nie chce być zbyt złośliwy w stosunku do obozu, z którym pewne sprawy niewątpliwie nas łączą. Zdobyliśmy dziś najgłębsze przekonanie, że sceptycyzm wobec postępu nie jest cechą rozumu. Pesymistyczny antyreformizm — tak określili jeden z naszych przyłociół na tych samych łamacz największą słabość europejskich intelektualistów. W em, że nie będzie to słabością przyszłego stronnictwa katolików. Dlatego, proszę księdza, to co pisałem tutaj, niech ksiądz uzna raczej za troskę, niż za chęć dotknięcia. Za troskę — czy obóz katolicki w Polsce potrafi sformułować własny program społeczny, który służyć będzie polskiej demokracji tak dobrze, jak francuski katolicyzm radykalny służył sprawie demokracji francuskiej.

Chciałbym widzieć pojazd katolicki w zdrowym tempie na wirażach historii. Pojazd, do którego nie trzeba by wzywać mechaników nie wierzących w cuda.

Kandyd.



BOLESŁAW DUDZIŃSKI

# DWIE ORDYNACJE (1935 — 1946)

Rozpoczęty już okres wyborczy nasuwa konieczność nie tylko zaznajomienia się z zasadami i przepisami nowej ordynacji, uchwalonej przez KRN w dniu 22 września b. r., ale również — porównania tej ordynacji z poprzednią, pozostawioną nam w spadku przez rząd „sanacyjny”, wraz z całym bagażem niepożądanych i szkodliwych rekwizytów politycznych.

Uchwalenie „sanacyjnej” konstytucji w roku 1935, dokonanie przy pomocy pamiętnych sztuczek interpretacyjnych, zmierzające do utrwalenia istniejącego podówczas systemu, który oznaczał stopniową lecz konsekwentną faszyzację Polski. Logicznym następstwem przeobrażeń konstytucyjnych, zapoczątkowanych ustawą z dnia 2 sierpnia 1926 r. o rozszerzeniu uprawnień prezydenta Rzpltej (prawo rozwiązywania ciała ustawodawczego i wydawania rozporządzeń z mocą ustawy), było uchwalenie nowej ordynacji wyborczej, całkowicie odmiennej niż poprzednia, od roku 1922 obowiązująca.

Ordynacja wyborcza z r. 1935 stanowiła istotne uzupełnienie „sanacyjnej” ustawy konstytucyjnej i wiązała się z nią — w duchu i literze — w organiczną całość. Nowa ordynacja zrywała z zasadą pięciu atrybutów demokratycznego głosowania, zachowując jedynie — i w pewnej mierze tylko — teoretyczny postulat tajności. Również i powszechność, bezpośredniość i proporcjonalność zostały przekreślone, ustępując miejsca — elitaryzmowi, jako idei kierowniczej „sanacyjnego” systemu rządzenia. Inicjatorzy ordynacji z roku 1935 mieli przede wszystkim na celu stworzenie, za pomocą skomplikowanych przepisów, tak gęstego sita wyborczego, by przez jego oczka nie mogli się przecisnąć kandydaci opozycyjni. Istniejące w tym względzie wątki możliwości teoretyczne zredukowane zostały niemal do zera szeregiem praktycznych „interpretacji” i zarządzeń, tak że proklamowany przez opozycję bojkot wyborów był w danych warunkach jedynie słuszną i celową odpowiedzią.

Ordynacja wyborcza z r. 1935 zmniejszyła wydatnie liczbę posłów sejmowych (z 444 do 208), którzy mieli być wybierani w 104 okręgach dwumandatowych. To „cesarskie cięcie” (ściślej „carskie cięcie”) miało na celu ułatwienie doboru i wyboru „odpowiednich” kandydatów, którzy — znalazłszy się w sejmie w stosunkowo nielicznej gromadzie bez oporu dąliby się podporządkować dyrektywom rządowym. Cenzus wieku został w porównaniu z ordynacją z r. 1922 — podwyższony: do lat 24 — prawo wybierania i do lat 30 — prawo wybieralności.

Wyborcom odjęto prawo bezpośredniego stawiania kandydatów. Powołano natomiast do życia t. zw. kolegia wyborcze w okręgach, złożone z delegatów samorządu terytorialnego, gospodarczego, zawodowego, szkół akademickich oraz organizacji pracowniczych. Do kolegiów mogli wejść również delegaci zgłoszeni po jednym przez co najmniej 500 wyborców, zamieszkałych w danym okręgu. Zadaniem kolegiów było „ustalenie” kandydatów na posłów, w liczbie przynajmniej czterech na okręg.

Mandat poselski otrzymywali dwaj kandydaci, którzy uzyskali największą ilość głosów, nie mniej jednak niż 10.000. Jeżeli tylko jeden z kandydatów zdobył 10.000 g. osów, posłem z okręgu zostaje tylko on sam (!). O ile żaden z kandydatów nie otrzymał tej liczby głosów, wybory odbywają się po raz drugi. Pomijamy przepisy drobniejsze, to bowiem, co przytoczyliśmy wyżej, w dostatecznej mierze charakteryzuje antydemokratyczne tendencje ordynacji „sanacyjnej”.

Ustawodawczy kunszt jej twórców załśnił jednak pełnym blaskiem dopiero w przepisach wyborczych do senatu, które śmiało mogą być nazwane karykaturą samego pojęcia „wyborów”.

Liczbę senatorów również zmniejszono (ze 111 do 96), przyczem 1/3 t. j. 32 mianował prezydent Rzpltej, zaś 64 było wybieranych przez wojewódzkie kolegia wyborcze. Do tych kolegiów wchodził delegaci, powołani przez obywateli, mających prawo wybierania do senatu. Prawo takie przysługiwało: z tytułu zasługi (posiadacze odznaczeń cywilnych lub wojskowych); z tytułu posiadania cenzusu naukowego (co najmniej ukończona szkoła typu licealnego lub równorzędna, albo szkoła podchorążych, bądź też stopień oficerski); z tytułu zaufania (piastujący godność z wyboru w samorządzie terytorialnym, we władzach samorządu gospodarczego, w zarządach organizacji gospodarczych i zawodowych, liczących co najmniej 1000 członków, oraz piastujący godność przewodniczącego miejscowych kół stowarzyszeń wyższej użyteczności).

„Wyborcy” do senatu musieli mieć ukończone 30 lat życia; kandydat na senatora — 40 lat. Tak więc wybory do senatu były nie tylko dwustopniowe, lecz ponad to krąg „wyborców” ograniczony został do ściśle określo-

nych kategorii „sanacyjnej” elity. Nie było w tych warunkach żadnej praktycznej możliwości, by kandydat opozycyjny przedostał się zwycięsko przez takie dwa filtry. Tym bardziej, gdy weźmiemy pod uwagę metody polityczne stosowane przez ówczesnych „władców” oraz system rozmaitych nacisków, przesądzających z góry nawet o personalnym rezultacie „wyborów”.

Ordynacja wyborcza z dnia 22 września 1946 r. jest w pewnym sensie miarą przemian ustrojowych, jakim uległa Polska w ogniu katastrofy wojennej i jej przełomowych konsekwencji. Dystans pojęć i przepisów, dzielący tę ordynację od tworu „sanacyjnego” z roku 1935, unaocznia historyczne różnice pomiędzy tamtą Polską, antydemokratyczną, elitarną, wrzniętą w rydwan dążeń międzynarodowego faszyzmu, a Polską dzisiejszą, nowoczesną, kręcącą zdecydowanie torem postępu i demokracji ludowej.

Przepisy obowiązującej dziś ordynacji nie są zresztą bynajmniej rewolucyjne. Nawracają one i w ogólnej zasadzie pięcioprzymiotnikowości głosowania i w wielu szczegółach do do pierwszej ordynacji z r. 1922, nie mają natomiast nic wspólnego z karykaturalną, na potrzeby klikowe obliczoną, ordynacją „sanacyjną”.

Oczywiście, licząc się z realnymi nakazami życia, obowiązująca ordynacja zawiera jednak pewne nowe, ilustrujące aktualne potrzeby i konieczności. Przede wszystkim, zgodnie z wynikami referendum czerwcowego, które uznało instytucję senatu za zbędną w aparacie ustawodawczym przeżytek, ordynacja uchwalona przez KRN dotyczy jedynie wyborów sejmowych. Sejm ma się składać — tak jak to było przed r. 1935 — z 444 posłów, z czego 372 wychodzi z list okręgowych, zaś 72 z list państwowych. Prawo wybierania mają obywatele, którzy w dniu zarządzenia wyborów mieli ukończone lat 21; prawo wybieralności przysługuje obywatelom, którzy w tymże dniu mieli ukończone lat 25 (dopuszczalne są wyjątki od tej zasady, gdy chodzi o kandydatów szczególnie zasłużonych w walce z okupantem, lub w dziele odbudowy kraju). Osoby przebywające zagranicą mają prawo wybieralności tylko wtedy, jeśli znajdują się tam z polecenia lub za zezwoleniem właściwej władzy. Państwowi funkcjonariusze administracji ogólnej i skarbowej oraz wymiaru sprawiedliwości i bezpieczeństwa publicznego nie mogą być wybierani w tych okręgach, w których pełnią służbę.

JAN SZCZEPAŃSKI

## KSIAZKA SOCJALISTY

Johan Hochfeld: „My socjaliści” Wiedza, 1946, str. 297.

„My socjaliści” — taki tytuł książki jest ambitnym i pełnym patosu zobowiązaniem. Pisać w imieniu socjalistów, to decyzja wymagająca odwagi. Socjalizm jest nie tylko doktryną społeczno-ekonomiczną, lecz to jest także wielka tradycja kulturalna i wyraża epokę w dziejach społecznych. Tytuł książki zakłada, że ta epoka dzieł, jej tradycja i doktryna wytworzyły określony zasadniczy pogląd i urobiną postawę ze stanowiska której Autor rozpatruje i naświetla aktualne zagadnienia powojenne. Książka jest zbiorem artykułów i notatek, pisanych z punktu widzenia tej postawy „socjalistów”. Hochfeld pisze z talentem, językiem pełnym umiaru (pominawszy zbyt częste posługiwanie się niezbyt szczęśliwym czasownikiem „kamufłować”), z wielką kulturą publicystyczną. Hochfeld polemizując, tłumaczy z pełnym uznaniem dla każdego do kogo się zwraca. To sprawia, że książkę czyta się z przyjemnością i niesłabnącym zainteresowaniem, bo poza spokojem i umiarem wyśłowienia wyczuwa się dobrze ugruntowane przekonanie i wiedzę, obejmującą porządkującym spojrzeniem szeroki horyzont złożonych procesów i przemian powojennego świata. Książka nosi podtytuł: „ze stanowiska socjalistycznego realizmu”, a intencje w których została napisana określa Autor następująco: „Gdyby myśl rozwinięta w tej książce poprzez wiele artykułów i notatek miała się przyczynić do zrozumienia idei socjalizmu rewolucyjnego i demokratycznego, humanistycznego i realizmowego i gdyby zdołała się przyczynić do zrozumienia potrzeby i celowości Rządu Jedności Narodowej w Polsce, rządu spokoju i pracy, poszanowania narodu i poszanowania człowieka, realizacji wielkiego programu manifestu lipcowego P.K.W.N. i zbliżenia do najszerzszego mas społeczeństwa — wówczas cel Autora zostałby całkowicie osiągnięty”.

Z tych intencji Autora wzmie pod bliźszą rozważę pojęcie socjalistycznego humanizmu. Przyznam się, że kiedykolwiek spotykam w publicystyce rzeczownik „humanizm” lub przymiotnik „humanistyczny” odczuwam pewien niemożliwy. Może dlatego, że zajmując się wieloma różnymi sprawami nauk humanistycznych poświęciłem dużo uwagi poszukiwaniu sensownego użycia tych

Ordynacja wyborcza — odmiennie, niż to było dotychczas nie pozbawia praw wyborczych wojskowych w służbie czynnej, co stanowi naturalny i zrozumiały akt sprawiedliwości w stosunku do umundurowanych nie rzadko zasłużonych obywateli kraju. **Pozbawione natomiast prawa głosowania** (i — rzecz jasna — wybieralności), są osoby, którym prawomocne orzeczenie sądowe po dniu 22 lipca 1944 r. odebrało prawa publiczne, następnie — niezrehabilitowani volksdeutsche, renegaci, osoby, które ze szkodą dla narodu Polskiego czerpały korzyści gospodarcze ze współpracy z okupantem, oraz osoby związane z podziemnymi organizacjami faszystów i bandami antypaństwowymi.

Teren kraju podzielony zostaje na 52 okręgi wyborcze o niejednakowej liczbie mandatów. Przeprowadzona została w tym względzie zasada formalnego uprzywilejowania Ziemi Zachodnich, gdzie na 1 mandat wypada ok. 40 tys. mieszkańców, podczas gdy w Polsce centralnej i wschodniej liczba ta wynosi około 70 tysięcy. Ustawodawca kierował się tu argumentami dwojakiej natury: 1° chodziło o uwydatnienie szczególnej doniosłości Ziemi Odzyskanych dla całokształtu życia państwowego Polski; 2° ze względu na trwającą płynność stanu ludnościowego na tych ziemiach (imigracja ze wschodu i zachodu) wzięto pod uwagę konieczność korektywy w stosunku do wyników spisu ludności, dokonanego przed kilkanaście miesięcy, a dziś już niezupełnie aktualnego.

Wybory zarządza Prezydium Krajowej Rady Narodowej drogą ogłoszenia o tym w „Dzienniku Ustaw R. P.”. Głosowanie odbywa się jednego dnia w całym Państwie i winno być wyznaczone na niedzielę. Do przeprowadzenia głosowania powołuje się Państwową Komisję Wyborczą oraz komisje okręgowe i obwodowe (obwód liczy ok. 3000 mieszkańców). Na czele Państwowej Komisji Wyborczej stoi Generalny Komisarz, mianowany przez Prezydium KRN na wniosek Prezesa Rady Ministrów spośród sędziów Sądu Najwyższego, Trybunału Narodowego lub Sądu Apelacyjnego.

Art. 22—32 ordynacji określają sposób sporządzania list wyborczych oraz ustalają tryb składania i załatwiania reklamacji. Art. 33—43 dotyczą list kandydatów. Lista ważna powinna być podpisana przynajmniej przez 100 wyborców, zamieszkałych w danym okręgu, przyczem liczba kandydatów nie może przekraczać dwukrotnej liczby mandatów, przy-

padających na okręg. Kandydat może być zgłoszony najwyżej w trzech okręgach wyborczych. Głosowanie odbywa się przy pomocy kart barwy białej, które zawierają mogą jedynie wyrażony słowami lub cyframi numer liczby kandydatów. Głosowanie rozpoczyna się o godzinie 7-ej i trwa bez przerwy do godziny 19-ej.

Dalsze artykuły ordynacji omawiają sprawy ustalenia i ogłoszenia wyników wyborów oraz sprawozdania ich ważności. Po ustaleniu wyników we wszystkich okręgach, Państwowa Komisja Wyborcza dokonuje proporcjonalnego podziału 72 mandatów z listy państwowej, przyczem w tym podziale uczestniczą jedynie listy, które przeprowadziły swoich kandydatów przynajmniej w sześciu okręgach. Ogólne wyniki wyborów ogłasza Generalny Komisarz Wyborczy nie później jak w 12 dni po dokonanym głosowaniu. Każdy wyborca może w ciągu dni 7 od ogłoszenia wyniku wyborów złożyć na ręce Generalnego Komisarza Wyborczego protest przeciwko wyborowi posła lub ważności wyborów. O ważności wyborów zaprotestowanych rozstrzyga Sąd Najwyższy w komplecie trzech sędziów na posiedzeniu jawnym, po wysłuchaniu prokuratora i stron zainteresowanych. W razie ulewiania wyborów, Państwowa Komisja Wyborcza w ciągu 14 dni przeprowadza ponowne wybory w danym okręgu lub obwodzie.

Daliśmy powyżej przegląd i streszczenie głównych postanowień nowej ordynacji wyborczej. Oparta na demokratycznych zasadach głosowania pięcioprzymiotnikowego, zabezpiecza ona całkowicie prawa wyborcze obywateli oraz swobodę głosowania, umożliwia wystawianie list kandydatów nawet nielicznym (100 wyborców) grupom obywateli, liberalnie traktuje kwestie reklamacji i protestów wyborczych, zapewnia prawidłowość i ścisłość wyników wyborów, które w tych warunkach będą prawdziwym wyrazem woli głosujących. Te cechy rzetelnej demokratyczności są zupełnym odwrótem od elitarnych i totalistycznych tendencji ordynacji „sanacyjnej”, a i w porównaniu z dawną ordynacją z r. 1922, od „sanacyjnej” niewątpliwie liberalniejszą, oznaczają wielki krok naprzód na drodze współczesności systemu wyborczego i przystosowania go do realnych potrzeb społecznych. *Tę zdrową myśl kierował się ustawodawca i ta myśl przyniesie niewątpliwie pożądane owoce w dniu powszechnego głosowania.*

Bolesław Dudziński.

czątków tej idei należy szukać w kosmopolitycznych tendencjach stoików, podkreślających ponadnarodową spójność wszystkich ludzi. Przejawia się ona w nauce Chrystusa (kazanie na górze) w postaci nakazu miłości bliźniego, Humanizm Odrodzenia stosunkowo mało przyczynił się do rozwoju idei ludzkości. Dopiero neohumanizm niemiecki XVIII w. wskrzesza ideały stoickie i idea ludzkości zostaje teraz dopiero właściwie rozwinięta. Zwłaszcza pisma Herdera wywarły wielki wpływ. Goethe, Kant rozwinięli ideę doskonałości człowieka oraz wskazali wynikające z niej konsekwencje etyczne i estetyczne.

Humanitaryzm był niejako zastosowaniem idei humanitas w praktyce, i on występował w różnych postaciach. Humanitaryzm chrześcijański wywodzi się z nakazu miłości bliźniego. Jednakże społeczny humanitaryzm chrześcijański jest stosunkowo późnym zjawiskiem. Dążności humanitarystów społecznego zostają podjęte przez wiele ruchów społecznych, między innymi i przez wolnościarstwo. Humanitaryzmami nazywano przedstawicieli ruchu „antropijnego”; nazwę humanitarystów przyjęli i utopijni komuniści francuscy wydający ok. 1840 „Journal humanitaire”, głoszący równość i braterstwo ludzi i wierzący w bezgraniczne doskonalenie się człowieka.

Humanizm, humanitas, humanitaryzm — trzy bezbratnie gmatwane idee złożyły się na powstanie różnych „humanistów publicystycznych”. Wszystkim tym humanizmom wspólne jest jedno: namielna obrona człowieka. Jakiego człowieka? Swojego. Każdy ma swoją koncepcję człowieka przedstawioną w deklaracji ideowej. Lecz nie zjawili się one przypadkowo. Powstały po niezupełnie przewyżnionej epoce niesłuchanej pogardy dla człowieka, domagając się jego „rehabilitacji” i wysunięcia jako dyrektywy działania etycznego ideału humanitas, uważając ją za najwyższe dziedzictwo europejskiej tradycji kulturalnej. Jednakże rozbieżności w zasadniczej koncepcji człowieka utrudniają odrodzenie humanizmu jako jedno litego, wielkiego prądu ideologicznego.

Wróćmy po tej przydługiej dygresji do Hochfelda i reprezentowanego przez niego humanizmu socjalistycznego. Na czym on



polega? Hochfeld oświadcza krótko: „Jestemy humanistami. Wierzmy w człowieka. Człowieka uważamy za cel i przedmiot wysiłków, za miernik osiągnięć społecznych, za twórcę historii. Człowiek się dla nas i u nas liczy” (str. 37). W tych słowach wyraża się nawiazanie do jakiejś jednej wspólnej idei człowieczeństwa, która reprezentowali stoicy, Chrystus, Odrodzenie i humaniści francuscy. Gdy Hochfeld pisze: „Czuje jak socjalista, jak Europejczyk, jak demokracja i humanista. I jak człowiek, zwykły człowiek” (str. 47), to podkreśla tylko ciągłość kręgu kulturalnego w którym ten „zwykły człowiek” został ukształtowany. W tym kręgu kulturowym ukształtowały się ideały i wzory, których dalszym ciągiem jest humanistyczna postawa socjalizmu. „Dążenie do usunięcia niesprawiedliwości w życiu społecznym jest nierozłącznie związane z dziejami naszej wspólnoty kulturalnej, z naszymi kategoriami myślenia, z naszym poczuciem etycznym... Plato i Chrystus, wojny chłopskie i reformacje, utopie wolnościowe, racjonalizm i egalitarne pierwiastki w rewolucjach mieszczańskich, ruch robotniczy i socjalizm, dzisiejsza walka o „jeden świat” — wszystko to jest wyrazem buntu przeciw niesprawiedliwości społecznej, tak charakterystycznym dla kultury, która się zrodziła w basenie Morza Śródziemnego i nad brzegami Atlantyku...” (str. 62).

W imię tej tradycji kulturalnej, dla podniesienia jej wzniosłych ideałów etycznych Hochfeld zwalcza dziedzictwo czasów pogardy: „Głęboki antyhumanizm, amoralność, nieumiejętność rozróżnienia dobrego od złego, apolityczność i spryństwo, przyzwyczajenie do obchodzenia i łapania prawa, clemena i brutalność, niechęć i pogarda dla innych ras i narodów, bezwzględność wobec słabszych, szowinizm i ignorancja, kult nagiej siły i chamskiego, cynizmu i bufonada, sztafeta, wyuzdanie seksualne, zwykłe złośliwość i kwalifikowane oszustwo — oto jakże niekompletny katalog hitlerowskiej spuścizny, z którą przyjdzie nam się borykać może niejedną dziesiątkę lat, która będzie się odradzała w tysiącach formach; raz jako otwarta reakcja, inny raz zakamuflowana rzeź koma postępowości; raz jako konserwatywny „obiektywizm”, inny raz jako „nowy rewolucjonizm”; raz jako oportunizm wobec rzeczywistości, inny raz jako polityka poświęcania rzeczy rzekomo drobnych wobec celów zasadniczych; raz jako ewanagiczne groszorbóstwo, inny raz jako parweniustwo nowej biurokracji” (str. 15). Ten cytat może najlepiej charakteryzuje co Hochfeld rozumie przez swój humanizm: poprostu postawę życiową i ideały społeczne przeciwstawiające się tu wymienionemu katalogowi wad. Lecz skądże wywodzą się te wszystkie wady? Z tego samego kręgu kulturalnego, z basenu Morza Śródziemnego i z nad brzegów Atlantyku. Cóż chcieliśmy powiedzieć przez metaforę: „ten krąg kulturowy wysunął idee humanitas i bynajmniej nie to, że ta idea była obowiązująca dyrektywa moralna w życiu codziennym, gospodarczym, politycznym. Była „człobą”, której tak łatwo wyrzekł się Niemcy w r. 1933, a za nimi tyle narodów noszących ją na afizkach i sztandarach rozwijanych od święta. Hochfeld zdaje sobie sprawę z tego, że tu przechodzimy na skraj utopii. Utopią była ta idea w warunkach społeczno-gospodarczej niesprawiedliwości i prawie usankcjonowanego wyzysku. Stąd dla niego humanizm socjalistyczny jest zobowiązaniem do czynu i czynnego zwalczania zła. „Nasza kultura jest humanistyczna. Liczy się w niej człowiek jako jej przedmiot, a zarazem cel i miernik wysiłków. Nasza kultura jest nie kontemplacyjna, lecz aktywna. Uważamy się nie tylko za jej wytwór, lecz również za jej świadomych autorów, czujemy też łączność żywą z pokoleniami przeszłymi, które ją budowały i formowały...” (str. 60).

Humanizm jest tylko jednym z atrybutów reprezentowanego przez Hochfelda socjalizmu. Inne jego cechy stanowią rewolucyjność i realizm. Przez podkreślenie tych cech Autor chce uniknąć wniosku, który mógłby się nasunąć po rozważeniu jego koncepcji humanizmu, że istnieją typy socjalizmów za sadniczo różne — na tle stosunku do człowieka. „Nie można budować pokoju na antagonizmie dwóch różnych koncepcji socjalizmu: zachodniej i wschodniej. Taki antagonizm musiałby doprowadzić do żelaznej konieczności — wbrew woli jednostek — do jakiejś krucjaty ideologicznej. Zie robią ci towarzysze brytyjscy, którzy w polityce międzynarodowej szermują hasłem „prężności” zachodniej koncepcji socjalizmu”. Dziś, gdy czerwone sztandary topocą w Moskwie i w Londynie, w Bukareszcie i w Paryżu, w Warszawie i w Pradze, droga do pokoju leży na linii integracji tych napozór tylko różnych koncepcji” (str. 24).

Powyżej przytoczone cytaty są niejako programowymi sformułowaniami, na które Autor nie kładzie specjalnego nacisku. Jego postawa i socjalistyczny punkt widzenia przejawiają się w omawianiu i interpretowaniu zdarzeń i dążeń politycznych. Chcąc zatem je dobrze zrozumieć trzeba przeczytać całą książkę. Warto to uczynić z wielu powodów.

Jan Szepeński

1) Szermowanie to może mieć poważne konsekwencje w polityce międzynarodowej jak dobitnie wynika z artykułu G.D.H. Cole'a ogłoszonego w „The New Statesman and Nation” z dnia 16 marca 1940, p.t. „Socialism and Germany” w którym Cole zaleca włączyć Niemców do bloku zachodniego.

EDWARD CSATÓ

## „ANTYGONA” W KATOWICACH

Państwowy teatr śląski im. Wyspiańskiego w Katowicach otworzył sezon „Antygoną” Sofoklesa i „Warszawianką” Wyspiańskiego. Uwagi, które nasunęły mi się w czasie premiery (zajmę się głównie „Antygoną”) mają przeważnie charakter zarzutów; chodzi mi przy tym nie o rozmiłanie się teatru z tzw. „intencjami autora”, lecz po prostu o to, że pod względem artystycznym widowisko nie stało na wysokości zadania.

Zacznę od zastrzeżeń merytorycznych. Dotyczą one inscenizacji plastycznej (A. Pronaszk), stanowiącej zresztą najdoskonalszy artystycznie element widowiska. Mam wrażenie, że w „Antygonie” dekoracje nie zostały należycie uzgodnione z koncepcją reżysera. Nie były to dekoracje naturalistyczne; silnymi, sugestywnymi skrótami określały ramy widowiska i narzucały właściwy nastrój; ale na ogół były martwe. Cóż z architektonicznego efektu tego typu dekoracji, jeśli nie zostaną one „wygrane” i ożywione ruchem scenicznych postaci? Schody, prowadzące z boku sceny w głąb, były przez cały czas trwania tragedii niepotrzebne; jeden raz tylko, na samym końcu, wyszedł nimi chór; to za mało. Jeśli upraszcza się do minimum ruchy wykonawców, należy uprościć i dekoracje. Stosunkowo martwe było również światło, zasadniczo jednym wielkim kłębem rozpięte między początkiem a zakończeniem. A przecież można „Antygonę” wycieniować pod tym względem w niestychanie subtelny i pełen wyrazu sposób.

Tu dochodzę do sedna zarzutów przeciw katowickiemu spektaklowi. Był on po prostu zbyt prymitywny. Zasadnicze ujęcie reżyserskie (H. Szaleński) odcyfrowujące myśl autora, wydaje mi się bezbłędne; ale na ogół tekst tej tragedii nie nasuwa przecież poważniejszych wątpliwości interpretacyjnych, jeśli nie zechcemy sami zapuszczać się na bezdroża psychologizmu. Tu jednak nie było nie tylko psychologizmu, ale wyczerpanego poprawnego psychologizmem opracowania tekstu. Antygona ma wypowiedzieć w pewnym momencie taki frazes: „Złoczyńco! O nie, brata...” (grzebałam). Wypowiada go z opuszczeniem znaków przystankowych, co nadaje im taki mniej więcej wygląd: „Złoczyńco! O nie brata...” Oczywiście, zmienia to zasadniczo sens wypowiedzi. Premierowa treść. Może być, ale tego rodzaju pomyłek było zbyt wiele, nie tylko u jednego wykonawcy. Mam wrażenie, że zrozumienie tekstu było w wielu wypadkach dość nikłe, a zato rozpanoszyła się brzydka moda częstochowskiego mówienia wiersza.

EWA KORZENIEWSKA

## POWIEŚĆ WEDŁUG RECEPTY

Różne są zdania co do tego, czy teoretyczne wymagania krytyków mogą wpływać na taki a nie inny charakter tworzącego się prądu w literaturze. Jedno jest pewne — oto, że krytyka narzuca autorom postulaty, które czasem wpływają pobudzająco na poziom i kierunek twórczości pisarza, a kiedy indziej wydadają rezultaty takie jak „Stolica” Gojawiczyńskiej. Gojawiczyńska w swej dotychczasowej działalności literackiej dała się poznać jako kulturalna pisarka, która obejmuje wprawdzie dość wąski zakres tematów i zagadnień, ale traktuje je z artystyczną prostotą i psychologiczną prawdą. Za interesowała Gojawiczyńskiej rozciągały się od psychologicznej analizy przeciwnych postaci kobiecych do prób przedstawienia pewnych wyodrębniających się grup społecznych (np. środowisko mieszkańców Woli). Na tym terenie, znanym autorce — jak można przypuszczać — z bezpośredniej obserwacji, Gojawiczyńska poruszała się śmiało i jej poprzednie powieści stały się ciekawymi osiągnięciami literackimi. „Krańca” była próbą rozszerzenia zainteresowań pisarki w kierunku polityczno-społecznym. Próba ta jednak raz jeszcze wykazała, że Gojawiczyńskiej trudno jest wyjść poza analizę duszy kobiecej.

„Stolica” jest nową próbą i to o wiele śmielszą w zamierzeniach. Jest próbą rzeczowego realizmu i analizy społecznej. Jest wreszcie próbą przezwyciężenia „pesymistycznego wydzwisku”, jak to określała krytyka — poprzedniej powieści.

Współczesna krytyka wola — hałasuje — domaga się realizmu. Współczesna krytyka żąda od pisarzy aktualności — oczywiście nie tej aktualności, która poszukuje łatwizny i goni za sensacją, lecz takiej, która odnosi się do spraw najistotniejszych dla chwili obecnej. Trzecim ze słusznych postulatów krytyki jest żądanie postawy aprobującej życie i przewy-

rytm greckiego tekstu „Antygony” jest przepiękny. Rytmu przekładu Morstina (którego nie czytałem) nie mogłem dobrze uchwycić, bo przeważnie przysłańało go jednostajne obniżanie i podwyższanie głosu w monotonnym tempie katarynki, albo rwany, nierytmiczny dialog; to jednak, co zdążyło się przedostać do mego ucha, skłania mnie do przypuszczenia, że i rytm polskiej „Antygony” byłby znakomity, gdyby wszyscy wykonawcy zechcieli pracowicie pilnować znaczeń poszczególnych wyrazów i zwrotów. Ostatecznie nie znamy przecież dotychczas lepszego sposobu wygłaszania dobrego wiersza, jak w oparciu o skrupulatną analizę jego treści.

Wydaje mi się, że to był „grzech główny” spektaklu. Z niego dadzą się wywieść wszystkie inne. Bo w „Antygonie” nie chodzi właściwie o nic innego, jak o proste, pełne treści i wyrazu mówienie wiersza oraz doskonałe zrytmizowanie (w sensie powyżej nakreślonym) wszystkich tyrad i dialogów. Dopiero z tego zasadniczego rytmu można wyprowadzić elementy mimiczne i ruchowe. Wówczas już nie groziłaby możliwość odmiennego ujmowania („stawiania”) ról aktorskich. Pamiętajmy, że na ogół w dzisiejszych przedstawieniach greckich tragedii rola reżysera musi być znacznie większa; domniemuje on całkowicie nad aktorem, rządzi jego ruchami, gestem, mimiką. Inaczej nie można stworzyć artystycznie jednolitej całości.

Postać Strażnika np. wprowadza do tragedii element komiczny. Lecz jeśli ten Strażnik spróbuje wydobyć humor swojej roli za pomocą środków znacznie ostrzejszych i gwałtowniejszych, niż sposób zachowania się wszystkich otaczających go osób, widz nie będzie miał wrażenia komizmu, lecz szarzy. — Ismena jest delikatna, trwożliwa, mimozowata; ale wyrażenie aktorskie tych jej cech jednym niezróżnicowanym tonem manierycznej płacizności sprowadza od razu tę figurę do jakiejś innej rzeczywistości, niż ta, w której istnieje bardzo prawdziwy i ludzki świat Sofoklesa.

Zdaje mi się również, że uproszczenie gestu, konieczne w tej tragedii, nie powinno być przeprowadzone za pomocą redukcji jego form do kilku prymitywnych postaci. Można pozwolić sobie nawet na duże bogactwo, a jednak za pomocą rzetelnej analizy oczyścić gest z przypadkowości i stereotypii, nadać mu znaczenie; to będzie właśnie prostota, o którą nam chodzi. Na katowickim spektaklu było pod tym względem rozmaicie,

przeważało jednak wrażenie pewnego ubóstwa.

Osobiście trudno mi się również pogodzić ze sprowadzeniem ruchów i gestów chóru do jednolitej, jakgdyby zmechanizowanej postaci: mam wrażenie, że raczej pewna kierowana i stylizowana różnorodność dałaby doskonalsze artystycznie rezultaty.

Krytyka moja skierowana była trochę jednostronnie na mankamenty przedstawienia, które miało przecież poza tym również i lepsze momenty i w które poszczególni wykonawcy włożyli sporo wysiłku i staranności. Braki jednak, gdy nagromadzi się ich zbyt wiele, przeszkadzają w percypowaniu dobrych stron i przeważają w ogólnym wrażeniu. „Antygona”, jedna z najwspanialszych tragedii w dziejach europejskiego teatru, nie jest materiałem łatwym i wymaga ze strony wykonawców wielkiej plastyczności i doskonałego opanowania środków technicznych. Jednak szlachetna ambicja teatru, wyrażająca się w takim wyborze sztuki, wydaje mi się, pomimo wszelkich niedociągnięć, godna uznania i poparcia.

„Warszawianka” nie wzbudziła we mnie tak daleko idących zastrzeżeń. Może ze względu na osobiste upodobanie. Mianowicie „Antygona” jako dzieło literackie, wywiera na mnie ogromne wrażenie, podczas gdy wobec „Warszawianki” pozostaje raczej chłodny. Już to samo musi wpłynąć na zmniejszenie wymagań krytyka wobec scenicznego kształtu dzieła. Poza tym utwór Wyspiańskiego zdawał mi się być bliższym wykonawcom: nawet, jeśli ktoś z nich nie rozporządzał właściwymi środkami do odegrania swojej roli, rozumiał — mam wrażenie — lepiej jej treść i sens, niż aktorzy tragedii Sofoklesa swoje role. Opanowania techniki aktorskiej wciąż jeszcze było za mało; w dodatku zauważyłem u niektórych wykonawców ten sam co poprzednio w „Antygonie” brzydki nałóg stereotypowych, banalnych gestów (np. natrętnie wyrzucenie rąk ponad głowę).

Całość była jednak bardziej jednolita, rozwiązanie poszczególnych scen bezbłędne, interpretacja tekstu poprawna.

Również i w tym wypadku bogatsze operowanie światłem (jakieś efekty można by wówczas wydobyć z samego popiersia Napoleona!) i większe nasycenie tej „pieśni”, jak ją Wyspiański nazywa, melodią, tu niestety zbyt „pokawałkowa”, dałoby widowisku kolor dzieła sztuki teatralnej, którego mu przyznać nie możemy. Edward Csató

cieżania biernego mało twórczego pesymizmu. Krytyka robi co do niej należy — tłumaczy, nawołuje, przygotowuje czytelnika.

Gojawiczyńska podjęła wyzwanie. Biorąc temat aktualny zamierzała w sposób jak najbardziej realistyczny przedstawić życie i losy mieszkańców wyzwolonej Warszawy. Jednakże między krytyką i autorką wynikło pewne nieporozumienie. Autorka zapewne mimo woli zrobiła parodię tego, czym być powinna współczesna powieść realistyczna. Parodia polega przede wszystkim na tym, że i realizm i optymizm i entuzjazm „Stolicy” są jakąś sztuczną nadbudówką, nie wynikającą z ideowego i artystycznego kształtu powieści. Może jest to i wina krytyki, która kreśląc ogólne plany i tworząc hasła, nie dość silnie podkreślała tę najbardziej oczywistą prawdę, że realizm jest pewnym naturalnym wyrazem określonego poglądu na świat i jednym z artystycznych sposobów ujmowania i pokazywania rzeczywistości. Optymizm i entuzjazm autora również staje się przekonywujący ledy nie wtedy, kiedy nie tylko wynika z rzetelnej aprobaty życia i zmian w nim zachodzących, lecz skoro jest jednym z artystycznych elementów kształtujących powieść i wyraża się w atmosferze i nastroju utworu. W przeciwnym razie pozostaje naiwnym dydaktyzmem i nieprzekonywującą propagandą.

Trudno rozstrzygnąć, czy Gojawiczyńska nie przemyślała i nie zrozumiała tych dość oczywistych prawd, czy też po prostu typ tej twórczości jest obcy kierunkowi jej uzdolnień.

W „Stolicy” ogromny materiał tematyczny nie został opanowany ani myślowo ani kompozytywnie. W swej nadmiernej gorliwości autorka chciała przedstawić całą Warszawę w ciągu pierwszego roku niepodległości wraz z jej skomplikowaną strukturą społeczną. Wpro-

wadza więc przedstawiciele inteligencji (Boraj, Elżbieta) robotników, drobna burżuazja i flaczarkę Anastazję, jako reprezentantkę najbardziej upośledzonego proletariatu. Chce pokazać młodzież, ludzi dojrzałych i starych. Pragnie opisać wszystkie wysiłki zmierzające do odbudowy stolicy — a więc zagląda do muzeum i do elektrowni, cieszy się z rekonstrukcji mostu, przyjmuje reparańców na dworcu i t.d. Ten nadmiar materiału nie tylko utrudnia kompozycję i komplikował wątki — ten nadmiar materiału doprowadził do bardziej niebezpiecznego dla wartości powieści rezultatu. Oto autorka w ramach jednej nie- zbyt nawet długiej powieści zamknęła kilka różnych gatunków prozy. Od suchych sprawozdań przechodzi poprzez reportaże i rodzaj wywiadów, do miejscami realistycznej, kiedy indziej nawet mocno nastrojowej fikcji banalnych powieści. Fikcja powieściowa rozpada się jeszcze na kilka niepowiązanych ze sobą wątków, romans Boraja i Elżbiety, miłość Piaseckiego i Ewy, wreszcie — co nam przypomina dawne utwory Gojawiczyńskiej — opis losów ludzi z Woli, zgrupowanych wokół Władziowej Kowala.

Pewne rodzaje prozy łączą się dla każdego pisarza obeznanego ze swoim rzemiosłem z odrębną techniką. Gojawiczyńska ze struktury swej powieści wyciągnęła słuszną, ale jakże szkodliwą dla całości utworu konsekwencję. W sprawozdaniach użyła suchego stylu informacji — „Po lewej stronie od wejścia piętrzyły się paki z surowych desek opatrzone czarnym napisem „Muzeum Warschau”. To ocalałe zbiory czekały na rozpakowanie. Pośrodku na marmurowej podstawie widniał wspaniały obraz z pomnika Kopernika, uratowa-

\*) Pola Gojawiczyńska „Stolica” Warszawa — Towarzystwo Wydawnicze 1946.



## WYSTAWA GRAFIKI, RYSUNKÓW I AKWAREL ARTYSTÓW ZWIĄZKU RADZIECKIEGO

ny w okresie powstania i przechowany przez kpt. Władysława Mazurka, tak jak arcydzieła Matejki Batory pod Pskowem, Unia Lubelska i Rejtan odnalezione zostały w Hain na Śląsku Dolnym i przywiezione do muzeum z pomocą dowódcy 7-ej Dywizji Piechoty i Starostwa".

W reportażach daje autorka opisom zabarwienie uczuciowo-nastrojowe i koncentruje wydarzenia wokół jednej postaci. Fikcja powieściowa wreszcie została ujęta na dwa różne sposoby. Życie na Woli, losy i psychika tamtejszych ludzi jest traktowana w sposób poprawnie realistyczny. Znowu, jak było w „Dziewczętach z Nowolipek” autorka traktuje i rzeczowo przedstawia drobne troski i wielkie cierpienia i widać, że zna to środowisko i umie je artystycznie traktować. Przeciwny kraniec techniki p.sarskiej stanowią inne wątki — zwłaszcza miłosne. Tutaj Gojawczyńska nie zdołała się ustrzec fałszywej metaforyczności i pseudo-nastrojowego patosu. Oto próbki — „Ta, którą Borał nazwał ozdobą niezdobnego życia Warszawy pochylała głowę nad listem wyjetym z torbeki... czytała lekko marszcząc brw, a popłoch, smutek, bunt przemykały kolejno przez wielki powab tej kobiecej twarzy”. Albo: „I zastygła z tą zagadką naprzeciw (mężczyzna — przyp. rec.) z chęcią pomocy i ocalenia, a także z gotowym wyrokiem ukrytym już w zanadru”.

Poza wyraźną w tych partiach książki manierycznością stylu autorka nie uniknęła też pewnej fałszywej maniery w przedstawianiu postaci. Jakby chcąc dogodzić recenzentom zarzucającym pisarzom nadmiar psychologizowania, stara się nie mówić o życiu wewnętrznych tych swoich „inteligentkich” postaci. Nawet więcej — otacza ich losy i przeżycia jakąś celową tajemniczością. Czytelnik z przypadkowo i w chaotycznej kolejności wprowadzonych wzmianek musi dopiero sobie rekonstruować dzieje postaci i czuje się tak, jak świadek rozmowy telefonicznej, który z ulamkowych zdań jednego rozmówcy z trudem i z niewielkim prawdopodobieństwem domyśla się o co chodzi. Ta sama fałszywa nastrojowość i niedomówienia psują efekt wielu ogólnych opisów Warszawy, która raz jest nazwana „zwiewnym widmem”, kiedy indziej „wielkim trupem”. Maniera osobliwie zamiast zamierzzonego efektu — wzruszenia czytelnika, wywołuje wrażenie jakiegoś skrapowania i nieomal zawstyżenia, że właśnie w taki sposób mówi się o Warszawie. — „Wielkie platy śniegu wirowały w powietrzu kładąc nieuchwytny akcent głębokiej ciszy na Stolicę, która zdawała się obumierać poraz drugi pod tym płaszczem białej. Jej poranione oblicze spoglądało niemo na zniechęconych ludzi, na swe dzieci, na pokolenie, co miało posiadać swe ciała pod Jej zmartwychwstanie i żywot”.

Może te błędy słusznie wskazują krytycy na jedno ważne przeoczenie. Ciągłe za mało mówi się i pisze o prostocie, która budzi szacunek nawet dla rzeczy i spraw drobnych, a jest szlachetnym i nieodzownym warunkiem opisu spraw wielkich i tragicznych.

Gdyby „Stolica” Gojawczyńskiej była zbiorem opowiadań lub felietonów, nie roszczałaby sobie pretensji do charakteru powieści, lub gdyby była reportażem, pozbawionym fikcyjnych wątków powieściowych, sąd o całości wypadłby napewno inaczej. Wówczas wystąpiłyby wyraźniej walory poszczególnych fragmentów, które w utworze o tym charakterze giną przytłoczone brakami artystycznego kształtu całości.

Aktualność „Stolicy” jest wyraźnie felietonowa — podchwytuje fakty i wydarzenia w chwili ich powstawania i rozwoju. Wylawia sprawy istotnie ważne i ważne dla życia państwa. Sędzi je oczyma nie specjalisty, ani artysty, lecz przeciętnego człowieka. Przez to stają się łatwo zrozumiałe i prawdziwe w odczuciu czytelnika. Publicystyka tego typu jest potrzebna i pożyteczna, lecz łączona w jakąś sztuczną całość z fikcją i traci sama, dezorganizuje powieść. Gojawczyńska zbyt silnie uległa podszeptom chwili i jak się zdaje zapominała w tej powieści o dobrej szkole pozytywistów, którzy — niedługo szukając — choćby w utworach Prusa pokazali, jak należy wprowadzać publicystykę w powieść, aby i publicystyka nie straciła i powieść zyskała.

Ewa Korzeniewska.

STEFAN OTWINOWSKI

NAGROBEK

POWIEŚĆ

„K S I A Ż K A”

Współczesna radziecka grafika artystyczna, zwłaszcza drzeworyt i litografia, ma w Polsce już ustaloną dobrą opinię.

Widzieliśmy w Warszawie na kilka lat przed ostatnią wojną wystawę tej interesującej sztuki, która w państwie radzieckim zna-

G. A. Ecełstow (ilustracje i wmiety w drzeworytach do rosyjskiego wydania utworów A. Mickiewicza), A. I. Krawczenko (ilustracje w drzeworytach do utworów Gogola i Byrona); jak prace M. B. Kuprianowa, P. N. Kryłowa i N. A. Sokolowa, trójki arty-

rysunkach słynnego w owym czasie ilustratora angielskiego, A. Beardsleya, który stylizował prawdę i naturę aż do jej zupełnego wyjałowienia i secesyjnej degeneracji. Jeśli jednak sam Aubrey Beardsley był mimo wszystko wielkim talentem i potrafił dla swej wizji plastycznej znaleźć swój własny wyraz i styl, to jego angielscy, niemieccy i rosyjscy naśladowcy i epigoni doprowadzili ten styl do pretensjonalnej, powierzchownej, pustej manier, dalecy od niesamowitej zręczności i wyrafinowanej zmysłowości rysunków Beardsleya. W Polsce ta manieryczna sztuka znalazła swe odbicie w czasopiśmie „Chimera” wydawanej przez Miriamę.

Współczesna sztuka radziecka nie zbacza z własnych, jasno zakreślonych dróg. Stara się przedstawić naturę i świat radzieckiego życia w formach i barwach takich, jakie są dostępne i zrozumiałe każdemu przeciętnemu obywatelowi radzieckiego państwa.

Oczywiście, taka technika graficzna, jak drzeworyt, narzuca już z góry artyście pewien określony styl, polegający na obcym naturze, linearnym ujmowaniu kształtu przedmiotów. Następnie treść książki ogranicza jeszcze silniej swobodę ilustratora, domagając się od niego najściślejszego współdziałania z jej stylem i duchem. I dlatego to zapewne z ilustrowaniem utworów dawniejszych pisarzy rosyjskich radzą sobie najlepiej artyści, należący do pokolenia starszego, którzy jeszcze nie zapomnieli form życia carskiej Rosji, przedstawianych w powieściach Dostojewskiego, Szchedrina-Soltykowa, Czechowa, Tołstoja, Gorkiego. Artyści młodszy i najmłodsi, wychowani już w państwie radzieckim, obcy jakkolwiek poszukiwaniom eksperymentom formalnym, przedstawiają z daleka posuniętym realizmem współczesnego człowieka radzieckiego w jego życiu zbiorowym. Talent i indywidualność artysty wyraża się tu większą lub mniejszą bystrością i wprawą w obserwacji świata i życia, większą lub mniejszą



W. KIBRIK — ILUSTRACJA DO POWIEŚCI ROMAIN ROLLANDA  
„ZACZAROWANA DUSZA”

lażla w ilustracji książki szerokie zastosowanie. Wśród licznych wydań poezji Puszkina, które pojawiły się tam w pułkownikim roku jubileuszowym, znalazło się niemało ilustrowanych świetnie oryginalnymi drzeworytami i litografiami wykonanymi przez wybitnych grafików radzieckich. Obok Puszkina i Lermontowa, byli Kryłow, Gogol, Szchedrin-Soltykow, Dostojewski, Tołstoj i Gorkij najczęściej ilustrowanymi autorami.

Wysoko wartościowa ilustracja, wykonana techniką drzeworytu i jednoczynowej odręcznej litografii, wywarła w latach przed-

stów, pracującej w zespole pod firmą „Kukryniksy” (ilustracje do powieści Gogola i Czechowa); jak ilustracje w drzeworytach P. I. Pawłinowa (do Stendhala „Czerwone i czarne”), M. I. Piłkowa (ilustracje w drzeworytach do Szekspira tragedii „Antoniusz i Kleopatra” i do Ajschilosa „Prometeusza skowanego”), jak F. D. Konstantinowa (ilustracje do powieści Dostojewskiego „Wina i kara” i do Lermontowa „Mcyri”).

Jeśli praca artysty-drzeworytnika, operującego w swym dziele kreską, wymaga od niego dużej biegłości rysunkowej, pewności oka i sprawnego opanowania wcale nie łatwej techniki rytowniczej, to znacznie więcej swobody ma w swej pracy artysta-grafik, posługujący się techniką litograficzną. Technika ta pozwala mu traktować przedstawiany obraz po malarsku, czyli operować piumą i szeroką skalą tonów — od czystej białej papiera i ledwie uchwytnej okiem szarości, aż do intensywnej czerni tłustej kredy litograficznej. I ta technika graficzna, mająca z sobą już z góra stuletnią tradycję w ilustracji książki europejskiej, w ilustracji również wdzięczna jak miedzioryt i drzeworyt, na wystawie grafiki radzieckiej ma kilku poważnych przedstawicieli. Prace wykonane w tej technice wystawił W. A. Kubrik (ilustracje do powieści Romain Rollanda „Zaczarowana dusza”), J. A. Waśniecowa (barwne litografie, ilustracje do bajek ludowych), W. N. Gorłajew (sceny z wojny w autolitografiach), A. P. Magilewski (ilustracje do bajek Kryłowa), A. L. Kapłan i k. i.

Wystawa współczesnej grafiki radzieckiej stwarza osobliwą okazję do zestawień i porównań z grafiką dawniejszą, przedrewolucyjną, którą na przełomie XIX i XX wieków reprezentowały znane wówczas i w Polsce artystyczne miesięczniki rosyjskie: „Świat sztuki” (Mir iskusstwa), „Apollon”, „Złote runo” i k. in., wydawane w arcybogatej szacie graficznej, wyrażającej zdecydowaną skłonność do kaligraficznej stylizacji i pogoni za wyśkokiem efektem, obliczonym na upodobania ówczesnego estetyzującego snoba. Ilustracje i ozdoba w owych czasopiśmiech wzorowała się bezkrytycznie na sztuce graficznej Europy Zachodniej, a w szczególności na modnej wówczas grafice angielskich prerafaelitów, więc Williama Morrisa, Waltera Crane, Ch. Robinsona, J. Dunkana, lecz przede wszystkim na



KUKRYNIXY — ILUSTRACJA DO POWIEŚCI „MARTWE DUSZE” M. GOGOLA.

sumiennością w opracowaniu szczegółów i większą lub mniejszą wprawą w użyciu środków technicznych. W sztuce takiej nie ma miejsca dla zagadnień czysto formalnych, rozwiązywanych indywidualnie. Podejście do tej sztuki dla człowieka Zachodu, nawykłego do szukania i odnajdywania na współczesnych wystawach sztuki europejskiej coraz to nowych indywidualnych rozwiązań zagadnień formy, barwy i światła, jest dość trudne. Można tu bowiem mówić tylko o treści i ogólnym, dość równym opanowaniu rzemiosła.

Przeclaw Smolik.

## W OBRONIE SATYRY

W jedynym bodaj w dorobku polskiego czasopiśmiennictwa powojennego, w dłuższym artykule, poświęconym problemowi stosunku satyry i humoru do życia, pisał w roku ubiegłym Kazimierz Brandys\*).

„Ten się śmieje dobrze, kto się śmieje pierwszy. Celem satyry jest ujawnianie przywar w zarodku, nie w rozkwicie, w powłokach, nie w pełni rozrostu. Satyryk to dalekowiedz, intuicjonista, odkrywca i podglądacz...”

„Za uśmiechem, za drwiną, za ironią musi się czuć czujne, przenikliwe spojrzenie odkrywcy. Satyryk to postać poważna, obdarzona pbczuciem nie tylko humoru, ale i moralności, wrażliwa nie tylko na śmieszność, ale i na nieprzyzwoitość, zło, brud, przemoc, ohydę; to postać pisząca mową zabawną o rzeczach poważnych, lecz nigdy mową niepoważną o rzeczach zabawnych...”

Te słuszne słowa Brandysa przypominają się przy czytaniu wydanego przez Spółdzielnię „Czytelnik” tomu satyr i fraszek Stanisława Jerzego Lecea „Spacer cynika”, satyry i

\*) Kazimierz Brandys: „Bukspan” („Odrodzenie” Nr 21, rok 1945).

fraszki, Spółdz. Wyd. „Czytelnik”, 1946. Treść wierszy satyrycznych Lecea, napisanych bez wyjątku przed wrześniem 1939 roku zadaje jednocześnie kłam innemu twierdzeniu, zasadniczemu dla tegoż artykułu, twierdzeniu, które należy uznać za niesłusznie uogólnione: „...słowo „satyra” trzeba postawić w wielkim cudzysłowie, pisząc o latach między majem a wrześniem w Polsce przedwojennej Satyry ambitnej, satyry zaszczytnej, najdumniejszego rodzaju mowy żartobliwej w tych latach w Polsce nie było. Był kuplet, skecz, nonsens czy zręczne słówko, ale humor tych czasów zasiadł na dwóch stołkach, cenit lukry i cukry — humor obłaskawiony, szyderstwo uznane oficjalnie. Gdzieś tam, na ucho, szepotano pewnie między sobą o demokracji, o pogwałceniu praw, że ten w Berezie, a ci przy Żłobie”.

M in. i tom Lecea jest dowodem, że autor artykułu skrzywdził satyrę polską tych czasów samemu ulegając zresztą sile sugestii tego jak pisze — „skartelizowanego i zmonopolizowanego humoru”, tej „obłaskawionej satyry” przez przyjęcie jej za wykładnik okresu międzywojennego i zatwierdzenie tym samym







## RÓŻNICE

(Kuplety)



1.

Po tamtej wojnie wołało wielu  
Mówić, miast „pamięć” — „obywatelu”.  
Inni zaś kwestię robili stanu,  
Aby pozostać tylko „panu”...

A po tej wojnie,  
A po tej wojnie,  
Wszystko się dzieje bardziej dostojnie:  
Bo rozwiązanie nadeszło sielskie:  
„Pan” zyskał prawa obywatelskie

2.

Po tamtej wojnie, po tamtej wojnie  
Wciąż nas świętami darzono hojnie;  
Z każdej ulicy czyniono parów  
Wzdłuż obrośnięty lasem sztandarów...

A po tej wojnie,  
A po tej wojnie,  
Wszystko się dzieje bardziej dostojnie,  
Same sztandary? To w świetle mięta!  
Dodano hasła i transparenta.

3.

Po tamtej wojnie, że był to szelma,  
Chciano postawić przed sąd Wilhelma...  
Lecz się zgodzono z Anglii poglądem,  
Że go nie trzeba stawiać przed sądem...

A po tej wojnie,  
A po tej wojnie,  
Wszystko się dzieje bardziej dostojnie:  
Przez rok działała sądowa scena,  
Aby niewinnym uznać Pappena...

4.

Po tamtej wojnie, Kuthan bez lecy,  
By orznać Brzechwę, znalazłby plecy:  
Z tym-by zjadł obiad, tu — palną mówkę,  
Tam — komu trzeba wsunął... nagrodę

A po tej wojnie,  
A po tej wojnie,  
Wszystko się dzieje bardziej dostojnie:  
Dzisiaj Kuthana kantów odczyt  
Wiceminister Kultury Sztuczek

5.

Po tamtej wojnie sztuki odcinek  
Wziął w pachy niejaki radca Rusinek.  
Rydz był mu panem, a Kaden — Bogiem,  
A wiec leżała Sztuka odłogiem

A po tej wojnie,  
A po tej wojnie,  
Wszystko się dzieje bardziej dostojnie:  
Wówczas był radcą — Rusinek ten tu,  
Dzisiaj — to dyrektor Departamentu!

6.

Po tamtej wojnie endecy prości  
Krew sobie psuli z jadu i złości;  
By dawać most oszczerczym wrzaskom,  
Mieli „Gazete” swoja „Warszawska”...

A po tej wojnie,  
A po tej wojnie,  
Wszystko się dzieje bardziej dostojnie:  
— „Warszawska”? brzydkie — pojeli — słowo!  
Wiec założyli sobie „Ludowa”.

7.

Po tamtej wojnie kler niósł pod niebo  
Modły za duszę niewiadomskiego  
Kaźac, że godna zbawienia dusza,  
To właśnie jego jest, Eligiusza...

A po tej wojnie,  
A po tej wojnie,  
Wszystko się dzieje bardziej dostojnie:  
Kler dziś się modli, zmieniony wścieca...  
Za Eligiusza?

Już nie.

Za Kielce!

Janusz Minkiewicz

## SPROSTOWANIE

W numerze poprzednim „Kuźnicy” w nocie pt. „Harold Laski o PSL” zostało zniekształcone w sposób istotny zdanie, które winno brzmieć następująco:

„I dlatego — według mego zdania — Londyn i Waszyngton wykazałyby mądrość, jeśliby uznały, że czas nawrotu do klasycznej demokracji w Polsce nie nadszedł”.

## Skuteczne środki

Nikt z nas nie chce wojny. Dalibyśmy wiele, aby Organizacja Narodów Zjednoczonych okazała się rzeczywistym strażnikiem pokoju. Należałoby zrobić wszystko, aby usprawnić jej działanie.

Daliby się w stosunku do każdego państwa wysunąć zupełnie określone postulaty. Ponieważ chcemy powiedzieć co zrobiła Ameryka, pomyślmy co to państwo właśnie powinno być zrobić dla ONZ. Przydałoby się chyba ukrócić te wielko-kapitalistyczne koncerty, które uruchamiają niemieckie fabryki zbrojeniowe pod kierownictwem hitlerowców? Przydałoby się również ukrócić te same czynności, gdy organizują wieczne wrzenia około perskich pól naftowych? Przydałoby się zreformować „zachodnie” poczucie sprawiedliwości, dla którego Schacht finansowy twórca hitlerizmu jest niewinny faszystowskich zbrodni? Przydałoby się... Ale po co mnożyć pobożne życzenia? Amerykanie przecież nie urzędują ani jednego, nawet najskromniejszego z nich.

Natomiast rodacy znanego nam dobrze „miłośnika pokoju i sprawiedliwości” pana Byrnesa ogłosili, że „w niedziele” — w całej Ameryce odprawione modły na intencje pomyślnych prac generalnego zgromadzenia ONZ.

Skuteczne środki!  
Liczymy, że szamani plemion indyjskich przy tej okazji będą zamawiać deszcze i burze. Żeby delegaci mieli piękną pogodę na czas obrad. To podobno też skuteczny zabieg.

## Pocieszające fakty

Nota moja z Nr 40 „Kuźnicy” pt. „Groźne fakty” wywołała odzew w opinii publicznej. Otrzymałem szereg listów, dowiedziałem się o wielu ustnie wypowiedzianych opiniach. To poruszenie jest już pocieszającym dowodem jak społeczeństwo nasze żywo reaguje w sprawach dotyczących doł swoich uczonych. Otrzymałem również listy (prywatnie!) z Ministerstwa Oświaty i Zakładu Ubezpieczeń Społecznych. Uważam, że mam prawo i obowiązek zapoznać czytelników z treścią tych pism, chociaż nie były przeznaczone do druku przez moich korespondentów.



Szczególnie wzruszył mnie własnoręczny list starego, zasłużonego działacza socjalistycznego Dr Krygiera, obecnie głównego kierownika Zakładu Ubezpieczeń Społecznych w Polsce. Troska, z jaką zareagował na moje słowa o braku pomocy lekarskiej, z powodu której cierpi jeden z naszych profesorów, przynosi zaszczyt organizatorom opieki społecznej w Polsce i budzi do nich najwyższe zaufanie. I to jest doprawdy pocieszające.

List bowiem Dr Krygiera i jego wyjaśnienia świadczyły jeszcze o czymś ważniejszym: o gotowym, dostatecznym aparacie opieki lekarskiej. Fakt, iż uniwersytet nie umie zeń w pełni korzystać wynika raczej z bezwładu organizacyjnego, z dyktantyzmu samorządu uniwersyteckiego, co tak słusznie krytykował profesor M. Jaroszyński w Nr 41 „Kuźnicy”.

Z obszernego i pełnego rzeczowych wyjaśnień listu profesora Arnolda wynika natomiast, że lekkomyślnie nie poinformowałem się o postanowieniach rządowych dotyczących plac proforskich. Uchwalona została tymczasem podwyżka, która wchodzi obecnie w życie i obowiązuje wstecz od 1.IX 1946. Podwyżka ta spowoduje, iż cyfra wynagrodzenia miesięcznego uczonego wzrośnie **trzykrotnie** w stosunku do cyfr, które podałem w mojej poprzedniej notatce. Wniosek w tej sprawie Wydział Nauki M.O. złożył odpowiednim władzom już w czerwcu b. r., gdy tylko dowiedział się o zamierzonym cofnięciu przydziałów żywnościowych dla personelu uniwersyteckiego.

Profesor Arnold niezwykle uprzejmie i szczegółowo wyjaśnił mi dlaczego uchwalenie tej podwyżki wymagało długich konsultacji i przewlekłej procedury. Nie ma w tym winy władz oświatowych.

I to wszystko jest drugim pocieszającym faktem.

## Chłopski rozum

Współczesną i niedawną myśl mieszczańską charakteryzował antyempiryzm, demaskowanie „niemocy” intelektu, sceptycyzm, relatywizm. Wiemy jaką te tendencje stanowiły po-

## Noty

zwykłą kłopotliwą dla faszystów. Poczucie nieuleczalnej samotności, absurdu życia, nieuchronnego twórczego piękna śmierci jako zasady bytu ludzkiego, niepewność wszystkiego — poza bezsens i troską. Tendencje te — bezpośrednio czerpane od rządzącego się hitlerowską filozofią partyjnego myśliciela Heideggera stanowią i dziś lakomą pożywkę mieszczańskiej Francji, nie dziwna w atmosferze wielkiej katastrofy: rozpadu kapitalistycznego imperium. Dla nich człowiek to namiętność bezużyteczna żyjąca daremne działaniem. Wyrafinowana kultura Francji każe obcować z tym pesymizmem sceptycznym w jego czystej i w pełni uświadomionej formie. W innych krajach kapitalistycznych występują te same dążenia w naiwnych maskach.

Atakowałem wielokrotnie ten sceptycyzm mieszczański w Polsce.  
Z przerażeniem przeczytałem taki klasycy nie mieszczański - schyłkowy passus w artykule ogłoszonym w „Młodej Myśli Ludowej” p.t. „Postęp jest niepodzielny”:

„Twórcy maksymalistycznych systemów nie ograniczali się do porządkowania tego, co w ich mniemaniu było cenne i zbawienne. Usiłowali bowiem czynić wrażenie, że pomyśleli ich są „obiektywnie” prawdziwe. Wiara w logiczną prawdziwość wyznawanych koncepcji była źródłem fanatyzmu i nietolerancji w praktyce społecznej.”

Tak np. filozofowie chrześcijańscy, przekonani (jeszcze dziś) o możliwości udowodnienia istnienia Boga, mają za głupców, lub co gorzej, za ludzi złej woli tych, którzy tego przekonania nie podzielają. Podobnie Hegel, marksści i cały legion innych.

Nie można mniemać, że tego rodzaju postawa sprzyja godności osobistej i zapobiega konfliktom społecznym. Kto bowiem uważa się za nosiciela Prawdy, ba! absolutu, ten jest nieprzejednanym wobec przeciwnika, gdyż sądzi, że tylko on jest uprawniony do urządzania życia.”

I to pisze rzekomo chłop! Cóż to za gandyzm — pod pozorami umiłowania pokoju i sprawiedliwości, chroniący wszystko co stare a złe? Toć nawet Chrystus przynosił nie pokój ale miecz. Ghandyjski „pokój” — to, usypiające skrzywdzonych, oszustwo najemników przemocy. Ale mniejsza o końcowe starce nawoływania do umiarowania. Chcę podkreślić te niewiarę w osiągnięcie obiektywnej logicznej prawdziwości sądów.

Co prawda znane dotychczas dowody istnienia Boga nie wytrzymują krytyki właśnie z punktu widzenia logicznej poprawności. Tym niemniej jednak właśnie współczesna, najbardziej postępową i choć częściowo wyzwolającą się z marazmu mieszczańską myśl naukową - filozoficzną cechuje dążenie do ustalenia sprawdzianów prawdziwości sądów. I wszystko cenne, wypróbowane przez praktykę twierdzenia nauki cechuje zgodność z tymi sprawdzianami. A to obowiązuje do wybierania w praktyce raczej sądów, które poddają się wspomnianym rygorom sensu i prawdy.

I nie można nazwać fanatykiem inżyniera, który ceni zdania na temat wytrzymałości materiałów sformułowane zgodnie z przyjętymi w postępowaniu naukowym sprawdzianami poprawności. Podobnie jest z myśleniem społecznym. Cechą nowatorskich i postępowych dążeń w humanistyce jest zbliżenie jej do typu nauk empirycznych, uogólniających, podporządkowanych wspólnym rygorom naukowego zachowania się.

Rozważmy dla przykładu historię jak dla dzieci. Dotąd pisarze i często uczeni wyjaśniali nadszycia białych w koloniach groźnym wpływem demonizmu przyrody, klimatu. Kto mu się oparł — nie grzeszył. Tak to było u Londona. Tymczasem historycy nauczyli nas, iż wymordowanie obrzytmego procentu tubylczej ludności w Kongo było narzucane nie przez demonizm przyrody, wywołujący kolonizatorów, ale przez system i twarde żądania kapitalistycznej eksploatacji w strukturze swej nie różnej od kapitalizmu znanego u nas. To poszukiwanie kości słoniowej niosło śmierć, a nie demon dżungli. Wyzysk kolonialny — to funkcja niższości organizacji społeczno - gospodarczej miejscowej w stosunku do organizacji i środków kapitalizmu imperialistycznego, a nie wpły natury. Gdyby przyroda dżungli była zgola mazowiecka, przebieg „cywilizowania” Kongo byłby taki sam. I tę prawdę uświad pomakaza Conrad w „Jadze ciemności”.

Czy będzie fanatykiem człowiek wyciągający wnioski z tych prawd i walczący z kapitalizmem? A może tylko taki człowiek — walczący z tym — piętnujący zło — jak Conrad czy Multatuli — jest godny miana człowieka? Przekonania coś znaczą. Także w życiu. Wśród przeciwników są nie tylko ludzie

przeciwnych przekonań. Są i obrońcy zła, wrogowie postępu, i to właśnie wtedy, gdy uporczywie trwała przy instytucjach wyzysku, przy praktyce gwałtu — a cechy rzeczy, instytucji, ich funkcje techniczne i społeczne są jednak obiektywnie poznawalne.

Zastanówcie się, młodzi chłopi! zlk

## Ściąłem się

Nie byłem nigdy bardzo dobrym uczniem. Znam gorzki smak „oblanego” egzaminu. I znów ściąłem się z historii literatury polskiej. Aż wstyd! A kiedyś stary Ujejski tak bywał zadowolony ze mnie.



Okazało się, iż nic nie wiedziałem, że Ilja Erenburg jest polskim pisarzem. Dopiero pouczyła mnie p. Janina Pregierówna w Nr 42 „Odrodzenia”. W dużym artykule pisze o „Upadku Paryża”. Cytuje całe ustępy z tej powieści. I do końca nie zdradza tajemnicy, że to przekład, i czyj przekład. Nie ocenia pracy tłumacza. Nie interesuje się stosunkiem polskiej adaptacji do oryginału. To są chyba podstawowe sprawy przy omawianiu przekładu, każdego przekładu.

Widocznie „Upadek Paryża” nie jest przekładem. Widocznie jest to pierwsza książka Erenburga napisana po polsku.

Ale temu przeczy znów pefitowa notatka bibliograficzna pod artykulem p. Pregierówny: Ilja Erenburg: Upadek Paryża. Tłumaczył Paweł Hertz. Łódź...

A ja myślałem, że Hertz to nie jest pseudonim Erenburga. Nigdy nie przypuszczałem, żeby pseudonim tak różnił się od swego posiadacza.

## O tym co boli...

Dn. 16.10 b. r. w części programu pt. „Mozaika muzyczna” radioluchaczy łódzkich nawiedziła ponura pieśń o nieustępliwym refrenie, złożonym ze słów: „O tym, co boli, graj na bandzoli”.



Ponieważ często miewam boleści, a pieśń została nadana zapewne w celach leczniczych, zwracam pytanie do Polskiego Radia, gdzie można dostać bandzole, i czy należy grać na niej przed, podczas, czy po bólach? k. b.

## Nieporozumienie

Przed kilku dniami zostałem zaproszony wraz z wieloma innymi moimi kolegami-pisarzami, przebywającymi w Łodzi — oraz mnóstwem osobistości oficjalnych na otwarcie nowego zimowego sezonu w Klubie, założonym staraniem Zarządu Związku Zawodowego Literatów Polskich, Oddział w Łodzi.

Na otwarcie klubu pani Wiera Gran, która jest niewątpliwie utalentowaną diseusa (czy pamiętacie mały bar w „Adri”?) odpiewała piosenkę „Taka jestem toba pijana”, pani Hanka Bielicka piosenkę pełną warszawskiego „argotu”, pan Dziewoński wypowiedział pisanę dla miliego grosza i niewybrednych słuchaczy monolog jednego z wybitnych zresztą polskich poetów. Wystąpił również pan Kazimierz Pawłowski. Urządzono nam zjazd gwiazd, parady artystów, morskie oko, bande, syrene — tak by się mogło zdawać sadzac z wymienionych nazwisk. Niestety — było gorzej.

Nie jesteśmy purytanami, nie zamierzamy zamykać barów i nocnych lokali. W tej samej „Kuźnicy” przed wieloma miesiącami rkm. oświadczył „właite z pieczonym kapłonem”. Sądzi jednak, że Klub Literacki musi utrzymać inny charakter, nawet w wesolej zabawie. Od miesiące zalewa nas szmira i tandeta — w piosence, w muzyce, w kabarecie, w piśmie codziennych i w pismach tygodniowych. Brońmy się! Nie jest dobrze jeśli w lokalu związku pisarzy polskich królują szmira!

Chętnie wysłuchamy piosenek Jurandota w Syrenie, pania Gran w Taborze, pana Pawłowskiego w konferanserie — będziemy bić im brawo i posyłać kwiaty. Ale żądamy zarezerwowania lokalu związkowego dla imprez bardziej odpowiedzialnych pisarzem — ich gościom.

ph

CENY OGŁOSZEŃ: 7 kolumna zł 60.000; 1/2 kolumny zł 30.000; 1/4 kolumny zł 15.000; 1/8 kolumny zł 8.000; 1/16 kolumny zł 5.000; Probne ogłoszenia 25 zł msi na 1 szpalce.

Redaguje Zespół „Kuźnicy”. Redaktor Naczelny: Stefan Żółkiewski.  
Redaktor naczelny przyjmujące wtorki, czwartki i soboty od godziny 11. do 13.

Agres. redakcji i administracji: Piotrkowska 96, tel 205-42.  
D-09369

Wydawca: Zespół „Kuźnicy”. — Drukarnia Spółdzielni Wydawniczej „Czytelnik” Nr. 4, ul. Zwirki 2.